FABRYKANT LONDYNSKI

CZYLI

ROZPACZ SZCZĘSLIWA.

DRAMMA

w PIĄCIU AKTACH

napiſane po Francuzku

przez

Pana de Falbaire

a przełożone na Polſki język zoſtawioną Sceną w Londynie

przez

Jana Baudouin.

W WARSZAWIE 1784.

Nakładem i Drukiem MICHAŁA GRÖLLA, Kſięgarza Nadwornego J. K. Mci.

Do Jmci Pana

OWSINSKIEGO.

Oklaſki podchlebne, które WaćPan odbieraſz, graiąc rolę Wilsona, *tyle właſną miłość Jego łechtać powinny, ile mi czułego ſprawuią ukontentowania; wyznać WaćPanu muſzę, iż mimo przekonanie moie, że natura rzadkim Go ozdobiła talentem do deklamacyi, dopiero w* Fabrykancie Londyńſkim *moie ziściłeś nadzieie. Z niemałą widzę radością owoce rad moich, któremi do dworu* Thalii *wprowadzony, bez wiadomości Teatru, bez wzoru do naśladowania, do wielkiey w ſztuce deklamowania przyſzedłeś doſkonałości. — Ta nauka będąc przy wſtępie Twoim ieſzcze w koleb-*

ce, nie mogłeś, iak w ſamey czerpać naturze, która wſzyſtkich umieiętności naypierwſzym ieſt prawidłem, i tey naywięcey winieneś. Przyznać iednak należy, iż Komedya wzroſt i wydoſkonalenie ſwoie ſzczególniey Autorom lub Tłómaczom przypiſać powinna, którzy Teatr dobremi ubogacaią ſztukami, i poſtawę, i wyraz przyzwoity ſwym myślom dawać nauczaią.

Tak wielki Molier wzór komedyopiſów, i oraz Aktorów pierwſzą Scenie dał okazałość. Wiek Ludwika XIV. wſpieraiącego nauki piękne, był pochodnią oświecaiącą w Francyi wſzyſtkie nauki, a ożywiaiąc nieiako całą maſſę rozumu ludzkiego, wynióſł Teatr do świetności, która coraz żywſzy blaſk wydaie.

Tragedya na ſkrzydłach Korneliuſza *prawie do naywyżſzego doſzła ſtopnia.* Baronowie *zadziwili wiek ſwóy doſkonałością deklamowania; przeſkoczyli*

nieiako przez przeciąg odzielaiący dzieciństwo ſztuki, od iey poſtępków i doyżrzałości. Tak człowiek ieden wielki cały naród odmienić może, wlewaiąc w duſze owe wſpół-obieganie ſię (rywalność) twórcze i daiące pięknym umieiętnościom ruch i wydoſkonalenie.

Spodziewać ſię nieomylnie potrzeba, że pod Panowaniem Mądrego STANISŁAWA AUGUSTA, *wraz z innemi naukami, które Swym wſkrzeſił zachęceniem, Teatr Narodowy do wyſokiey przyidzie doſkonałości; przekonany, iż przegwizdywaniem wad, i zbrzydzeniem wyſtępków w Towarzyſtwie, naypomyślniey ſię poprawiaią i łagodzą obyczaie; tym końcem Komedyą Narodową, i koło wydoſkonalenia oney pracuiących z Swą zwykłą dobroczynnością wſpierać nie przeſtaie; Widzi iuż nie bez ukontentowania ſkutek zachęcenia i dobrodzieyſtw Swoich. — Komedya wkrotkim czaſie dość znaczne uczyniła poſtępki; kiedy*

innym Narodom na wydoſkonalenie oney wiekow potrzeba było.

Opera Polſka, którey ſię odważyłem pierwſze dać ieſteſtwo, winna Jmci Panu Boguſławſkiemu ſżczególnym Polymii *obdarżonemu Talentem ſwą świetną poſtawę, iuż to przez dobre wytłómaczenie wielu ſztuk pięknych w rożnym rodzaiu, iuż to przez ſzczęśliwe ſwych i cudzych dzieł wykonanie. Niektórzy z pomiędzy Aktorów Polſkich doſyć iuż wydoſkonaleni, aby ſię na Scenę Tragiczną odważyli.*

Owſińſki! do WaćPana należy otwarcie świątyni Melpomeny, Wilſon i Zennewal, *których z powſzechnym grałeś zadziwieniem, tey chwały godnym Cię czynią; Zaprowadż tam* Panią Truſkolawſką, *i oſadż Ją na Tronie tey Muzy, przy okrzykach Publiczności, która waſzym Talentom odda ſprawiedliwość. Idźcie, lecz drżącym ieſzcze krokiem; nie macie w tey Scenie modeluſzu*

do naśladowania, ani przepisow sztuki deklamowania; przeto większym to dla was będzie zaszczytem; gdy na dobre wyidziecie oryginały. — Czerpaycie tylko roztropnie w naturze, radząc się rozumu, myślcie, czuycie, i bądźcie pilnemi, aby nie Dmuchacz, *lecz wierna pamięć wam szeptała.*

Poświęć, szacowny Przyiacielu! wszystko dobru Towarzystwa, kieruy, choćbyś doznał niewdzięczności, krokami swey Rozalii, *nie przestaway doskonalić iey zdatność; zapaliłeś w niey ten ogień przenikaiący, wprawiłeś ią w ten wyraz naturalny uczuć naygwałtownieyszych, i iey szlachetną ukształciłeś postać; bądź wiernym iey przewodnikiem w przykrey, bo nieprzetorowaney ieszcze drodze Sceny Tragiczney, aby bez kompasu z prawdziwey nie zeszła drogi. Idziesz brać na siebie postać Pòł-Bogòw, Cesarzòw, Kròlòw, Xiążąt, Tyranòw, i ich nayokropnieysze lub naysłodsze uda-*

wać namiętności — trzebaby do tego właſności przemiennego Protheuſza, *ktòry podług Bayki, tyſiączne na ſiebie umiał wdziewać przemiany. Wieleż to uczuć Aktora dobrego ożywiać powinno, w wyrażeniu przyzwoitym tych charakterow rożnych, i w daniu każdemu, dobranego koloru i cienia? Sztuka to zaiſte wielka, i nie poſpolitych natury wymaga darow; przeto też w rownym z kraſomowſtwem u nayſławnieyſzych narodow była poważaniu.*

Wielbiony był Andronik; *nadzwyczayne czyniono honory* Rościuſzowi, *i nayznacznieyſi Rzymianie ſwą go zaſzczycali przyiaźnią — dowodem ſą tego niektòre piſma* Cycerona *oſobliwſzy ku temu Komedyantowi, okazuiące ſzacunek.*

Francya *i* Anglia *wyſtawiaią poſągi ſwym wielkim Aktorom dla podania Potomności poſtaw, ktòre w udaniu wielkich namiętności przybierali.*

Jęczy iuż pierwsza nad uprzedzeniem i niesprawiedliwością, którą im po śmierci, Ci wyrządzaią, z któremi wraz, choć rożniącym się sposobem, obrzydzaią w Towarzystwie występność, i do miłości cnoty go zachęcaią. O! wstydzie Narodu, doświadczyły niezbyt dawno tey wzgardy zwłoki nienaśladowney Aktorki, Panny le Couvreur, *która wzorow swych doskonałości dziwnie łączyć umiała, i w którey muza Tragiczna cała oddychała.*

Lecz Woltaire, *którego dzieł godną była Tłomaczką, zemścił się z zaiadłości przesądow, kwiatami nieśmiertelney chwały, które na iey rzucił mogiłę.*

Polska w tey mierze roztropnieysza zwaliła z siebie ich iarzmo haniebne, i odda bez wątpienia sprawiedliwość swym dobrym Aktorom; gdy chęć podobania się Narodowi, i nabywania chwały na Scenie zagrzewać, a przystoyność i honor za Sceną, kierować ich będą.

Już Monarcha kochaiący Nauki natchnął ſwoy Narod antuzyazmem doſkonalenia onych; powſtaną niemylnie Polſkie Moliery, Racyny, Korneliuſze, *a może i* Woltery. *Ich dzieła* wſkrzeſiciela *ſwego pamięć uwiecznią, a dla widzialni Narodowey, tak ſławnych uformuią Aktorow, iak dla Francuzkiey ſą* Kain, *i Pani* Dumesnil.

O! iakżebym ſię ſądził ſzczęśliwym, gdybym dość uczuł geniuſzu dla przyłożenia ſię do tego, i ſtania ſię tey ſławy uczeſtnikiem.

J. Baudouin.



FABRYKANT
LONDYNSKI
DRAMMA
w PIĄCIU AKTACH.

OSOBY.

Wilson, Fabrykant ſukienny.
Dawid, Czeladnik Wilſona.
Pani Sonbrydz.
Fanni, corka Pani Sonbrydz.
Betcy, nańka dzieci, czyli dozor maiąca.
Falkland, Lord Szkodzki.
Jakób, drugi czeladnik.
Julęsia, corka Wilſona, maiąca lat ośm.
Henryk, ſyn Wilſona młodſzy.
William, Paſtor.
Kupiec.
Milk, drugi kupiec trzymaiący Pocztę Londyńſką.
Lokay, Lorda Orſey.
Lokay, Lorda Falklanda.
Urzędnik Sądowy z ſześcią żołnierzami.
Sześciu Sukiennikow.

Scena w Londynie.

Widzialnia okazuie ſalę małą, w którey porządne Meble, na iedney ſtronie ſtolik mały, i krzeſełka dziecinne, Zegar piękny na kominie, w śrzodku otwarte drżwi podwòyne, przez które widać ſklep; z obydwoch ſtron drżwi iedne do Magazynu, drugie na ſchody do góry.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

WILSON, DAWID.

Wilson, *w ſzlafroku wchodzi na Scenę z lewey ſtrony, zagląda do ſklepu, i woła Dawida, który zaraz przychodzi.*

Wilson, *na boku poſtępuiąc.*

Dawidzie — Dawidzie — wieleż to kłopotów i troſkliwości razem ſię na mnie zwaliło — a tylko dzień ieden w domu nie byłem — i oka zamrużyć nie mogłem. *Do Dawida przychodzącego z ſklepu.* Dawidzie, a robiąż wſzyſcy ſukiennicy?

DAWID.

Tak ieſt; wſzyſcy iuż ſą u warſztatow, i tak pilnie robią, iż ſię ſpodziewam w tym tygodniu wyſtawić te ſukna, które kupcy robić kazali.

WILSON.

Trzeba ich więc uprzedzić, żeby w ſobotę po nie przyſłali — ale dziś kilka mamy terminow; trzeba będzie wexle zapłacić.

DAWID.

Prawdziwie nie wiem za co WaćPan ich tyle na ieden dzień wyſtawiaſz, a wſzyſtkie na znaczne ſummy; możeſz WaćPan ſwòy kredyt nadweręźyć; iuż mi dziś trzy prezentowano wexle, a kiedy. —

WILSON.

Jeſzcze ſię dwòch ſpodziewam, trzeba. —

DAWID.

Dobrze — ale nie maſz iuż pieniędzy w kaſſie.

WILSON.

Trzeba poſłać do Pana Sudmera po te dwa tyſiące funtow ſterlingow.

DAWID.

Jużem posłał po nie.

WILSON.

Niemażli iakiey wiadomości, ieżeli wexle assygnowane przez niego do Norwiku, są zapłacone? — Summy to były znaczne.

DAWID.

Gdyby nie były zapłacone, mielibyśmy byli o tym doniesienie wczorayszą pocztą; bo Pan Artur bardzo regularny; lecz się obawiać nie potrzeba. Bankier Norwicki rzetelny; a wreszcie Pan Sudmer iego towarzysz, który WaćPanu swe wysławił wexle, zaręczył za nie, a on kapitalista, i iest go na czym patrzyć.

WILSON.

Nie mam też żadney o to troskliwości — Ach! bodayby serce moie z innych miar tak było spokoyne! Fanni i matka iey wychodziłyż gdzie wczoray w niebytności moiey?

DAWID.

Nie wychodziły — ale Lord Orsey ie odwiedzał. —

WILSON.

Co? Lord Orſey?... Wſzakże go więcey przyimować nie miały — po tak uroczyſtym przyrzeczeniu — mnie zdradzać! zmowiły ſię widzę obie, aby mnie podeyść. — Na dzień tylko ieden ſię oddalam, — a zaraz z mey niebytności korzyſtuią — bez wątpienia go o moim przeſtrzegły odieździe. — Mòy kochany Dawidzie! nie ukryway mi niczego— Kiedyż tu Milord przybył? — długoż ſię tu bawił? cóż ſię tu działo?

DAWID.

Przyſzedł tu wczoray zaraz po obiedzie, i bawił ſię przeſzło godzinę w pokoiu Jeymć Pani Sonbrige.

WILSON.

A była tam Fanni?

DAWID.

Matka ią zawołać kazała; lecz nie bawiła ſię z niemi długo, a gdy wyſzła, zdawała mi ſię bardzo bydź pomieſzaną.

WILSON.

Miłość tego Lorda nad niemi wzięła gòrę,

PANI

godność i bogactwa iego otrzymaią pierwszeństwo zapewne.

Dawid.

Lokay iego samym ieszcze wieczorem przyniosł list dla Pani Sonbrige.

Wilson.

Niestety! widzę niezwrotną zgubę maią, porzucą mnie, uczynią zemnie ofiarę Lordowi — Fanni bez wątpienia iest godną dostoieństwa i fortuny, ktòrą iey ofiaruie moy Rywal — ale za coż mnie oszukuie, o naytkliwszey mnie zapewniaiąc miłości? — co? Fanni tak naiwna umnie zdradzać? a ia dla niey gotowem był zapomie to wszystko, com winien pamięci Klaryssy. — Kochany Dawidzie — to podeyście wskroś mnie przenika, i żywiey mi czuć daie zgubę mey żony — ach! za coż mi ią nieba, po sześcioletnim naylubszym związku, zabrały, nie stety! —słodka pamięci moiey klaryssy! tyś przez czułą przyiaźń te dwie cudzoziemki do swego przyięła domu, tyś mnie, iuż bliska śmierci zaklinała, abym się z'niemi złączył nierozerwanie, daiąc młodą Fanni za matkę mym dzieciom!

DAWID.

Ale, WaćPan może bez przyczyny ſię trwożyſz — wierzyć nie mogę, aby —

WILSON.

Niech tu przyidą dzieci moie — Ich widok przypominaiący mi ich matkę, którey żywym ſą wyobrażeniem, wſzyſtkie inne we mnie oſłabi uczucia.

DAWID.

W ſam raz przychodzą; Pani Sonbrige ie prowadzi do WaćPana.

SCENA II.

WILSON, DAWID, PANI SONBRIGE *w dehabilé*, JULUSIA *w czepku nocnym*, HENRYK, *ubrany ze wſzyſtkim.*

PANI SONBRIGE, *trzymaiąc za ręce oboie dzieci.*

Dzień dobry Mości Panie Wilſon — prowadzę WaćPanu dzieci, aby go z drogi przywitali.

WILSON, *ściſkaiąc ie nie patrząc na Panią Sonbrige.*

Kochane dzieci — przypominacie mi —

PANI SONBRIGE, *podczas gdy Wilson ſię z ſwemi cacka dziećmi.*

Czekałyśmy WaćPana wczoray aż do iedenaſtey — i rozumiałyśmy, że dziś dopiero przyiedzieſz.

WILSON, *patrząc na nią ſurowo, przymuſzaiąc ſię wſtrzymać tkliwość ſwoią.*

Nie miałem ſię po co ſpieſzyć — nowiny ktòre za mym powrotem — (*ściſkaiąc znowu ſwe dzieci*) ach kochane dzieci! niepowetowaną uczyniliśmy zgubę.

PANI SONBRIGE.

Starać ſię będę iaknayuſilniey, aby iey nie czuli; a co WaćPana, ſpodziewam ſię — że Fanni —

WILSON, *zadrżawſzy ſpoyrzy na Panią Sonbrige.*

Fanni; Fanni, WaćPani mòwiſz?

PANI SONBRIGE.

Mam wiele do powiedzenia WaćPanu; Panie Dawidzie — zaprowadź te dzeci na

górę — (*ściska Julusię*) Idź Julusiu, i powiedz swey piastunce, aby cię pięknie na głowę ubrała; lecz niech ci nic na szyię nie kładzie.

Dawid, który się zabawiał rżnięciem pior u stolika, wyprowadza ie z izby.

SCENA III.

WILSON, Pan SONBRIGE.

Był wczoray u nas Lord Orsey.

WILSON.

Wiem iuż o tym.

SONBRIGE.

I wieczorem samym do mnie napisał.

WILSON.

Zapewne dziękuiąc iey za to, coś mu z rana przyrzekła.

PANI SONBRIGE, *dobywa listu z kieszeni i oddaie go Wilsonowi.*

Otóż list iego — nauczy WaćPana wszystkiego.

Wilson, *czytaiąc liſt z poruſzeniem.*

Jakikolwiek bądź ſtan WaćPani i urodzenie Fanni, które mi uporczywie taiſz, miłość moia tak ieſt gwałtowna, że ſię o nie wypytywać nie będę, — ſkładam u nog corki WaćPani me urzędy, me doſtoieńſtwa i fortunę; i przedſięwziąłem we dwa dni zaślubić ią ſobie. Po takim upewnieniu nie ſpodziewam ſię, abyś mi więcey o miłości Wilſona wſpomiała, i żeby on że mną miał walczyć o ſerce i rękę Fanni. — Jadę na wieś pobliſką na 24 godzin, a iutro poſzlę do WaćPani po oſtateczną odpowiedź; mniemam, iż ſię z życzeniem moim zgadzać będzie; bo inaczey, nie wiem czy odpowiem za zdrożności, na które mnie gwałtowność miłości moiey, wyſtawić może. *(Lord Orſey)*

Wilſon zaſmucony oddaie liſt Pani Sonbrige, nie patrząc na nią.

Jakież tedy i WaćPani przedſięwzięcie?

Pani Sonbrige, *patrząc na niego poważnie.*

Dowieſz ſię WaćPan — ten liſt ieſt przyczyną, żem ſię bez wahania namyśliła.

WILSON.

A Fanni — nie maż też iakiey przykrości przychylić się do tego?

PANI SONBRIGE.

Dopełnię nayslodszę iey życzenia.

WILSON, *spoyrzy na nią zawiśnie i z pogardą, a Pani Sonbrige mowi daley tonem tkliwszym.*

Tak iest Mości Panie Wilson; od dawnego czasu corka moia uważa WaćPana, iako kochanka swego — więc pragnę, aby go dziś iak męża swego kochała.

WILSON.

Jak męża! mnie?

PANI SONBRIGE *łagodnie.*

Tak iest, WaćPana; kiedy iey rękę chcesz przyiąć.

WILSON, *całuiąc iey rękę z naywiększą żywością.*

Ach! Pani moia — ieżeli chcę? można-li mię oto pytać? — ale za cóż mnie Wać Pani tak długo w tey okropney trzymała nie

pewności? ach, gdybyś wiedziała, iakie cierpiałem udręczenia.

SONBRIGE.

Chciałam WaćPana tym ukarać ſpoſobem, żeś aby moment ieden wątpił o życzliwości naſzey — mògłżeś nam tę uczynić krzywdę?

WILSON.

Daruy WaćPani ſtrwożonemu kochankowi te wątpliwości — ach! czym godzien, żebyś dla mnie tak znaczną uczyniła ofiarę? aby Fanni ſię zrzekła tych korzyści — ktòre —

SONBRIGE.

Ta ofiara nic, ani iey, ani memu ſercu niekoſztuie — wiedz, kochany przyiacielu, iż nieſzczęśliwe doświadczenie aż nadto mnie nauczyło; aby ſię nie dać zaślepiać świetnością wielkiey fortuny, i ſtrzedz ſię zdrad panòw. — Już to nadſzedł moment odkrycia WaćPanu, kto my ieſteśmy — nie mogę bowiem wydać za WaćPana Fanni bez uwiadomienia go o iey urodzeniu, i o nieſzczęściach iey matki. Szacunek, ktòry mam dla WaćPana, mocno mnie zapewnia, iż me wyznanie nie odmieni uczucia iego dla niey, bo gdyby to naſtąpić mogło, nadto kocham mą corkę, abym ią wydała za niego.

WILSON.

Ach! nie obawiay się WaćPani tego; nic mnie odmienić nie potrafi; naytkliwſze uczucia przywiązały mnie na zawſze do WaćPaństwa.

SONBRIGE.

Przekonana o tym zupełnie ieſtem — ale uſiądźmy (*ſiadaią u ſtolika*). Opowiadanie które Waćpanu uczynię, nieſkończenie mnie koſztować będzie, i boleści odnowi moie. — dowieſz się WaćPan o przyczynie tey głębokiey melancholii, którą chyba śmierć ſama uleczy. — Urodziłam się w Lublęnie; ociec móy, który rozległy prowadził handel, wielkie w nim ponioſł ſzkody, a odumarłſzy mnie w wieku bardzo młodym, — zoſtawił mnie bez fortuny pod opieką ſtryia (ponieważ iuż i matki nie miałam) ten zaraz w piętnaſtym roku chciał mię wydać za bogatego kupca tego miaſta, lecz na nieſzczęście moie przybył tam Lord Falkland dla odwiedzenia krewnego ſwego, który był Vice-Krolem Irlandzkim, a zobaczywſzy mnie na ſpacerze, przeniknioony zoſtał memi ſłabemi powabami, znalazł ſpoſob mowienia zemną, i oświadczenia mi miłości ſwoiey — uczciwość, rze-

telność, i wſzyſtkie cnoty wydawały ſię na twarzy iego, ſądziłam że i ſerce niemi napełnione było — a ponieważ mnie przymuſzano pòyść za człowieka, ktòregom wcale nie kochała, uwieść ſię dałam amantowi memu, i poiechałam z nim do Szkocyi.

SCENA IV.

WILSON, Pani SONBRIGE, KUPIEC, DAWID, *Kupiec wchodzi przez ſklep, maiąc w ręku wexel; Wilſon go poſtrzegłſzy, wſtaie i idzie przeciwko niemu; Pani Sonbrige zaś wſpiera ſię ſmutnie na ſtołku.*

Kupiec ukazuiąc mu wexel.

Mości Panie Wilſon, mam wexel iego na 1200 gin, upraſzam WaćPana, abyś go zaſpokoić raczył.

Wilson.

Odbierzeſz WaćPan zaraz pieniądze, (*idzie ku ſklepowi, woła Dawida, ktòry zaraz przychodzi*). Dawidzie — trzeba wypłacić 1200 gin, — a powrociłże Jakòb?

Dawid.

Nie Mości Panie — wſzak Pan Sudmer Bankier mięſzka aż na drugim końcu mia-

ſta — więc i Jakób w godzinę lub dwie dopiero powroci.

WILSON, *do Dawida.*

A nie maſzże tyle pieniędzy w kaſie do zapłacenia tego wexlu?

DAWID.

Nic iuż nie maſz.

WILSON *oddaiąc wexel kupcowi.*

Proſzę WaćPana, abyś za dwie godziny przyſzedł po pieniądze.

KUPIEC.

Prawdziwie, wielebym na tym ſzkodował, ta zwłoka być może przeſzkodą do zakończenia zyſkownego dla mnie intereſſu.

PANI SONBRIGE, *bierze na ſtronę Wilſona, i oddaie mu bilety Bankowe, które z Pulia-reſu wyciągnęła była, i mowi.*

Naści WaćPan, właśnie mam tę ſummę w biletach bankowych; ieſt to poſag moiey córki, i cała fortuna naſza, oddaię ią WaćPanu, możeſz iey użyć na zapłacenie wexlu tego.

WILSON, *nie chcąc wziąść biletów od Pani Lonbrige.*

Mościa Pani do ręki Fanni żadney fortuny przyłączać nie potrzeba — nie przyimę — upewniam.

PANI SONBRIGE.

Za cóż nie? wſzakże my iedną będziemy familią, mam ieſzcze za 300 gin kleynotow — dziś ſię tylko moia corka w nie uſtroi; lecz iutro ie WaćPanu odda, możeſz ie przedać, i pieniądze za nie w handel włożyć — niech ten kupiec nie czeka, zapłać mu Wać Pan ſwòy wexel.

WILSON.

Ponieważ WaćPani tak chceſz koniecznie, przyimę ie — o toż Moſpanie ta ſumma w biletach bankowych.

Kupiec odbieraiąc bilety examinuie one, i oddaie wexel Wilſonowi, zapiſawſzy na nim wprzód odebraną ſummę.

Wſzyſtko rzetelnie, zapłacony ieſtem. *odchodzi.*

SCENA V.

WILSON, Pani SONBRIGE.

Idą znowu ſieść u ſtolika, Wilſon trzyma w ręku wexel zapłacony.

PANI SONBRIGE.

Wyieżdżaiąc z Irlandyi z Lordem Falkland, nayuroczyſtſze mi czynił przyrzeczenie, iż, iak tylko ſtanie w Szkocyi, miał ſię zaraz niezerwanym zemną złączyć węzłem; lecz gdyśmy tam przybyli, zawiódł mnie na wieś uſtronną, gdzie uſilnie mnie o nie co proſił czaſu, aby od oyca ſwego mógł otrzymać zezwolenie do poſtanowienia ſwego — tym czaſem urodzenie Fanni zdawało ſię podwaiać uprzeymość kochanka mego — widywał ſię częſto ze mną potaiemnie, i ponawiał mi ſtokrotnie przyrzeczenie mnie uczynione. — Mimo to — wyobraż WaćPan ſobie rozpacz moią: dowiedziałam ſię raptownie, iż ſię ożenił z Lady Rutland — a nawymòwienie ſwego wiarołomſtwa oświadczył mi ten zmiennik, iż oyciec iego na kilka dni przed śmiercią ſwoią do tego go przymuſił poſtanowienia, w krotce potym wyiechał z ſwą żoną do Jamaiki, ktòrey zoſtał był rządzcą. Po

oddaleniu ſię iego, oddano mi liſt od niego z kartami bankowemi na trzy tyſiące funtów ſterlingów, w którym mi przyrzekał, pamiętać o fortunie córki moiey, i we wſzyſtkie nas opatrywać potrzeby, i proſił mnie, abym zawſze w dobrach iego mieſzkała — lecz te mieyſca, które mi nieuſtawnie zmienność iego przypominały, wſtręt mi do ſiebie nieznośny przyniosły. — Udałam ſię więc do Neukaſtle, gdzie u znaiomego kupca lat dwanaście zoſtawałam.

Wilson.

A przez ten czas nie czyniłże Lord Falkland, żadney do WaćPani odezwy?

Pani Sonbrige.

Nie chciałam iego odbierać liſtów — iednak piſywał częſto do kupca, u którego mięſzkałam, dowiaduiąc ſię o mnie i córce moiey. — Nakoniec powziąwſzy chęć powrócenia do Irlandyi, udałam ſię tym końcem do portu Bryſtolſkiego, tam ponieważ córka moia zachorowała, nie wſiadłyśmy na Okręt maiący nas zawieść do Irlandyi, i to ſzczęściem było dla nas, bo ſię ten okręt rozbił niedaleko brzegów oyczyzny moiey.

WILSON.

Nieba łafkawe uchronić was chciały, i nie dopuściły, abym tak wielką uczynił ftratę, przeznaczaiąc was obie na moią pociechę — co za fzczęście dla mnie, żem w ten czas przybył do Bryftol.

PANI SONBRIGE.

Poznanie fię z WaćPanem niemniey dla mnie było fzczęśliwe; dowiedziałam fię prawie w tę porę o śmierci mego ftryia, i że mnie wydziedziczył — ta niepomyślna nowina, przyiaźń, którą powzięła ku nam Wać Pana kochana Klaryffa, iako i ich nalegania nakłoniły nas do poiechania wraz z niemi do Londynu — refzta WaćPana wiadoma. — Już temu dwa lata, iakośmy utraciły Wać Pan, naymilfzą żoną, a ia naytkliwfzą przyiaciółkę — prawie przed fwym zgonem zaklinała mnie, abym WaćPanu moią dała córkę, iak tylko doydzie do wieku, w którymby mogła zaftąpić iey mieyfce, obiecałam iey dopełnić woli — i widziałam nie z małym mym ukontentowaniem, że fkłonność Fanni z mym fię zgadzała ułożeniem — zwłoczyłam iednak to ziednoczenie z przyczyny iey młodości — lecz ubiegania fię Lorda Orfey,

a mianowicie groźby w liście ſwym mam uczynione, dłużſzey zwłoki czynić mi nie pozwalaią; Więc Mości Panie Wilſonie, dziś — za godzinę ślubować będzieſz moiey corce, ieźli z wyznania tego nie weźmieſz pochopu do odrzucenia iey ręki.

WILSON, *wſtaiąc wraz z Panią Sonbrige.*

Ach! wierz mi WaćPani, że obie ſercu memu milſzemi ſię ſtaiecie, naygorętſzym moim ieſt pragnieniem, aby czułe me ſtarania, i uprzeymość nayżywſza, pamięć tych nieſzczęść zatrzeć mogły — idę rzucić ſię do nóg nayulubieńſzey Fanni.

PANI SONBRIGE.

Ubiera ſię teraz, czyńmy tym czaſem potrzebne przygotowania, a każ WaćPan przeſtrzec Paſtora, aby za godzinę —

WILSON.

Już on czeka na nas — Paſtor wielkim ieſt przyiacielem moim, i radość moią dzielić będzie. (*podaie rękę Pani Sonbrige, a gdy z nią wychodzi; mówi do Dawida wchodzącego przez ſklep*). Mości Panie Dawidzie! zapiſz ten wexel z drugiemi.

DAWID, *biorąc wexel.*

Wygotuię także porachunek ſukienników; chcą ſwą zapłatę za pół mieſiąca.

Wilſon i Sonbrige wychodzą lewą ſtroną.

SCENA VI.

DAWID ſam, *idzie do ſtołu patrząc na wexel.*

Ha ha! — to wexel przyſłany z Halisfax od Bogusława Kiſtona (*wyciąga ſzufladkę, i bierze z niey kſiążkę, i piſze w nią*). Dnia 28 Marca 1784. — to nie żarty — 1200 gin.

SCENA VII.

DAWID *ſiedząc u ſtołu*, HENRYK, LOKAY *Lorda Orſey*, MILK.

HENRYK, *bieży do Dawida i ſiada przy nim.*

Moſpanie Dawidzie — otóż ci ludzie chcą ſię widzieć z matulą.

DAWID, *ſpoyrzy i piſze daley.*

A czegóż tam potrzeba? (*Henryk bierze papier i gryzmoli*).

LOKAY.

LOKAY.

*Mospanie — przyszedłem tu od Milorda Falklanda. —

DAWID, *pisząc roztargniony przez dziecie swywolące.*

Statkuyże Waść Panie Henryku.

LOKAY.

Przysłał mnie tu, abym się dowiedział, ieżeli Jmć Pan Wilson będzie dziś u siebie z rana.

DAWID, *pisząc.*

do Lokaia.

Zdaie mi się, że będzie w domu — (*pisząc*) — ale Mospanie Kiston ostatnia wełna była nie czysta, wiele iey ubyło. —

MILK, *ukazuiąc Dawidowi wexel.*

Mam tu wexel na 282 funtów sterlingów.

DAWID.

Nie masz pieniędzy w kasie, posłałem dopiero po nie, — trzeba zaraz porachować wiele się sukiennikom należy. — (*bierze kawałek papieru do porachowania*).

MILK.

Więc zaczekam.

DAWID, *niecierpliwie mowi, ponieważ mu ſię Henryk ſprzeciwia, i ſtòł trąca.*

Pòkiż tey ſwywoli? Ey proſzę ſtatkować — *(obracaiąc ſię do kupca Milka).* Lepiey WaćPan powròć za parę godzin. — Bankier Sudmer daleko ztąd mieſzka — trzebaby może długo czekać — ach zapomniałem napiſać biletu, *(zacznie piſać bilet wziąwſzy inſzy papier).*

LOKAY.

Milord chce także wiedzieć. —

MILK, *pomięſzany.*

WaćPan poſłałeś do Pana Sudmera?

DAWID, *patrząc na Lokaia.*

Cóż tedy — Milord chce wiedzieć? który to Milord, albo to tylko ieden Milord w Londynie? teraz lada kogo Milordem zowią. — *(piſze daley).*

MILK, *zbliżaiąc ſię do Dawida, i przerywaiąc Lokaiowi.*

Do Pana Sudmera WaćPan mòwiſz? do Bankiera Sudmera?

DAWID, *piſząc.*

Bezwątpienia — alboż to WaćPana za-

dziwia? *(kończy bilet, ſkłada i pieczentuie opłatkiem).*

MILK, *na boku.*

Więc to nie muſi być prawdą, co mi o Sudmerze powiedziano — boby tu zapewne o tym wiedziano *(przyſtępuiąc do Dawida).* ale Panie Dawidzie — winienem Paſtorowi William tę ſummę; i iuż dwa razy dziś do mnie przyſyłał, abym mu ią zapłacił.

DAWID, *piſząc adres.*

Paſtorowi William? tym lepiey — to ieſt przyiaciel naſzego domu, zapłać mu WaćPan tym wexlem, upewniam, że go przyimie za gotowe pieniądze.

MILK.

Kiedy tak, to dobrze — pòydę więc do niego, *(na boku odchodząc)* tym ſpoſobem żadnemu niebeſpieczeńſtwu podpaść nie mogę.

DAWID, *wołaiąc kupca wychodzącego.*

Hey Moſpanie Milk, wſzakże WaćPan maſz u ſiebie kantor poczty Londyńſkiey — mam tu liſt — radbym —

MILK, *patrząc na adreſs.*

Na Ulicy Sułampton — przed południem oddany będzie. *odchodzi.*

C 2

SCENA VIII.

DAWID, HENRYK, LOKAY, *potym Julusia ubrana ze wszystkim.*

DAWID, *robiąc rachunek sukienników.*

Trzebać ten rachunek skończyć, piętnaście dni, więc sześć razy piętnaście — pięć razy sześć trzydzieści — cyfra, raz 6. iest 6. a 3. iest 9. więc im się należy 90. —

LOKAY.

Pan mi rozkazał, abym się dowiedział, ieżeli kupiec z tego — nazywa się — i do kata zapomniałem — iuż przyiechał. —

DAWID, *do Lokaia.*

Wcale iasne i zrozumiane pytanie—(*rachuie 90.*) a oprócz pomocników — rachuiąc po —

JULUSIA, *przybiegaiąc.*

Bracieszku, braciszku, nasz tatulo się żeni.

DAWID, *patrzy na nią z zadziwieniem.*

Co? tatulo WaćPanny — kiedy? któż to WaćPannie powiedział?

JULUSIA.

Przyszła matynka mi to powiedziała, za-

raz poiadą do ślubu. — Już Betzy poszła do Pastora, — patrz ieno WaćPan — iaki mi piękny dano kapelusz, — iaką śliczną mam suknią.

DAWID *do Lokaia.*

Kiedy tak — powiedz wać swemu Panu, żeby lepiey iutro przyszedł, bo podobno dziś Pan Willson— zatrudnionym będzie. *(pisze).*

LOKAY.

Ale WaćPan chyba nie znasz mego Pana; on strászny Splyn cierpi — naymnieysza rzecz go rozgniewa — chciał żebym tu ieszcze do dnia poszedł. — Więc gdybym mu powiedział, że dopiero się iutro z Panem Willsonem zobaczyć może — nie wiem coby zemną uczynił.

DAWID, *skończywszy rachunek.*

Niechże więc dziś przyidzie — wyraźnie się sam wytłòmaczy; nie wiem coby to za pilny był interes — i któryby mi nie był wiadomy. —

LOKAY.

Więc pòydę mu to powiem, lecz proszę bardzo, żeby Pana w domu zastał, kłaniam uniżenie. *odchodzi.*

SCENA IX.

DAWID, JULUSIA, HENRYK.

DAWID, *chowa kſięgę do ſzuflady, a dzieci graią u ſtolika.*

DAWID.

Więc ſię tatulo dziś żeni? czyście radzi z tego.

JULUSIA i HENRYK.

Ach bardzom radzi!

JULUSIA.

Tatulo bardzo kocha przyſzłą matulę, gdy ieſt przy niey — tak mile na nią ſpogląda, że —

DAWID, *uſtawiaiąc ſtołki.*

No kochaneczko, iuż ſię to znaſz na tym?

JULUSIA.

Za cóż nie — nie razem widziała —

Dzieci biorą Dawida za ręce.

DAWID, *odchodząc z niemi.*

Także to zawſze przy mnie wieſzać ſię będziecie?

HENRYK.

Kiedy WaćPana tak lubię.

JULUSIA.

Jakże ſię dziś bawić będziemy, tatulo naſz ma dziś weſele.

HENRYK *ſkacze.*

Tak, tak, tatulo za mąż idzie —

DAWID.

Nie idzie za mąż, ale ſię żeni.

HENRYK.

To wſzyſtko iedno.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

SCENA I.

FANNI, WILSON, JULUSIA.

Fanni zchodzi z swego pokoiu, ubrana do ślubu, Wilson przyzstoynie ubrany podaie iey rękę, a Julusia się trzyma iey sukni.

FANNI, *dobywa z kieszeni koloretkę, u którey wisi krzyżyk dyamentowy, i daie ią Julusi.*

Dałem bratu WaćPanny pulares, bo lubi pisać, a WaćPannie daruię tę koloretkę.

JULUSIA, *biorąc ią chciwie.*

Ach iakże piękna — Tatulu, patrz Wać Pan iak się to świeci.

WILSON do JULUSI.

Cóż to masz Julusiu?

JULUSIA, *całuiąc ręce Fanni.*

Ach iakże WaćPannę kocham za to, póydę, pokażę to Betzi, memu bratu, matuli Wać

Panny — i każdemu, kogo tylko ſpotkam, *wybiega oglądaiąc koloretkę.*

SCENA II.

FANNI, WILSON.

Wilson.

To nadto piękne i drogie dla dziecięcia, moia Fanni kochana!

Fanni.

Będzie mogła ią noſić choć dorośnie, a wreſzcie nie ieſt tak koſztowna —

Wilson.

Więc, naymilſza Fanni, idzieſz uczynić przyſięgę, która zapewni ſzczęście całego życia moiego — złączyſz ſię ze mną na zawſze, — mògłżem pomyślić dziś z rana, aby dzień ten nayſzczęśliwſzym był dla mnie na świecie?

Fanni.

Powinien bez wątpienia być miłym Wać Panu, ieżeli miłość iego memu ſię równia przywiązaniu.

Wilson.

Daieſz mi dziſiay naywiękſze onego dowo-

dy, — mogłażeś więcey dla mnie uczynić? ofiaruiesz miłości moiey godność i fortunę, którą ci Lord Orsey zapewniał.

FANNI.

Zadney WaćPanu nie uczyniłam ofiary, owszem bardzobym była nieszczęśliwą, gdyby się sposob myślenia matki moiey z uczuciem moim nie był zgadzał; lecz nieszczęśliwym nauczona doświadczeniem. —

WILSON.

Wszystko mi opowiedziała.

FANNI.

Wczoray dopiero swą okropną mi opowiedziała historyą, i taiemnicę urodzenia mego — ach! iak się wstydzę tego podłego zdradziciela Lorda, który mi dał życie — łzy, które do tych czas wylewa matka moia. —

WILSON.

Słyszałem o tym Lordzie Falkland; gdy został mianowany rządzcą Jamaiki — i mówiono o nim wiele dobrego — ale iakaż to iest cnota Panów wielkich!

SCENA III.

FANNI, WILSON, DAWID.

Dawid, *wychodząc z magazynu.*

Mości Panie! Rzemieślnicy dowiedziawszy się o dniu dzisieyszym weselnym, pragną wszyscy WaćPanu powinszować — radości ich opisać nie można. —

Wilson.

Ich radość moie powiększa szczęście; trzeba iednak, żeby sukna zamòwione iak nayprędzey wygotowali — powiedz im Wać Pan, aby swych nieodstępowali warsztatów, póydę sam do nich — i podwoię im płatę za pòł miesiąca — wieleż im się będzie należało?

Dawid.

Dziesięć gin — iużem zrobił porachunek.

Wilson.

Więc im WaćPan dasz dwadzieścia gin, a cóż? nie powròcił ieszcze Jakób?

Dawid.

Jeszcze nie — a to mnie mocno zadziwia, kantor wiele bardzo musi mieć do expedyowania.

FANNI do DAWIDA.

Oświadcz WaćPan Rzemieślnikom, że im bardzo iestem wdzięczna, iż ich tyle moia interessuie szczęśliwość, i że chcę, aby tu wszyscy wieczerzali — niech dziś wcześnie robić przestaną; ta mała uczta, którą im myślę sprawić, mało co ich spoźni robotę — czy zezwalasz na to kochany Wilsonie?

WILSON.

Ach! luba Fanni, te uczucia dobroci powiększaią wemnie miłość moią. Idź WaćPan zobacz, ieżeli Pani Sonbrige iuż iest gotowa.

DAWID.

Otóż iuż idzie — póydę do sukienników; upewniam, że ta wiadomość ich radość podwoi. *odchodzi do Magazynu.*

SCENA IV.

FANNI, WILSON, Pani SONBRIGE, JULUSIA.

PANI SONBRIGE, *trzymaiąc w ręce koloretkę Julusi.*

Pódź kochanko; przypnę ci tę koloretkę — a kochaszże też tę, która ci ią dała?

JULUSIA, *całuiąc iey rękę.*

Ach! z całey duſzy moiey.

PANI SONBRIGE, *ſiada i przypina Julnſi koloretkę.*

Ale maiąc tak piękną koloretkę trzeba ſię proſto trzymać.

WILSON, *patrzywſzy na córkę ſwoią z ukontentowaniem, obraca ſię do Fanni.*

Ach! kochana Fanni, iakże czucia natury dla ſerc tkliwych ſą roſkoſzne.

SCENA V.

FANNI, WILSON, Pani SONBRIGE, JULUSIA, HENRYK.

HENRYK, *wſzedłſzy przez ſklep bieży do oyca.*

Tatulu, tatulu, czekaią na WaćPana, Paſtor iuż ieſt w kościele, proſi przez Betzi, żebyście WaćPańſtwo przyſpieſzali.

PANI SONBRIGE, *wſtawſzy idzie ku Wilſonowi i corce.*

Pòdźcie więc moie dzieci kochane!

WILSON, *daiąc rękę Fanni, i wychodząc przez ſklep.*

Cóż za moment dla mnie pożądany, iakież dni ſzczęśliwe za nim ſnuć mi ſię będą.

JULUSIA, *chcąc iść z niemi i z bratem.*

Wſzak i my z WaćPańſtwem póydziemy!

PANI SONBRIGE.

Nie, moie dziatki kochane, zoſtańcie ſię w domu, a gdy powrócietny, zawſze ſię z nami bawić będziecie.

Dzieci ſmutnie poglądaią za niemi.

SCENA VI.

HENRYK, JULUSIA, DAWID.

JULUSIA, *powracaiąc do brata ku Scenie.*

Móy Braciſzku, pokaż że mi ſwòy pugilares!

HENRYK, *dobywa go z kieſzeni i pokazuie.*

DAWID, *wychodząc z Magazynu, idzie powoli ku ſklepowi zamyślony.*

Prawdziwie, zaczynam bydź troſkliwym, cóż to ieſt? — pytano mi ſię ieżeli czego nie-

ſłyſzałem o Sudmerze — iakażby to wieść o nim bydź mogła? — Jakòb nie powraca — cóś ſię w tym święci, (*gdy ſię Dawid przybliża do drzwi ſklepu, Betzi ie otwiera Milordowi Falkland, ktòry wchodzi, i za nim Dawid. — Lord ten bogato ubrany, i ma order podwiązki*).

SCENA VII.

HENRYK, JULUSIA, DAWID, FALKLAND, BETZI.

BETZI do LORDA.

Otóż Milordzie, to iego czeladnik, możeſz ſię WaćPan z nim rozmowić (*bierze dzieci na ſtronę.*

JULUSIA.

Ach! iakże piękne ten Pan ma ſuknie!

FALKLAND, *do Dawida tonem ponurym.*

Więc Wilſona nie maſz w domu — poſłałem iednak tego poranku Lokaia, uprzedzaiąc go, iż tu przyidę.

DAWID.

Milordzie, chciey go wymowić, poſzedł do kościoła — w tym momencie ślub bierze.

BETZI, *do dzieci.*

Pódźcie, uſiądźcie u ſtolika waſzego. (*dzieci ſiadaią na przeciwko ſiebie przy ſtoliku, na którym karty i rożne cacka, Betzi ſiada przy nich.*

FALKLAND.

Będę więc czekał powrotu iego.

DAWID, *podaie mu krzeſło, Falkland rzuca ſię na nie, nie patrząc na Dawida.*

DAWID, *idąc do ſklepu ſpogląda częſto na Falklanda.*

Ten biedny Pan ſtraſzny widzę ſplyn cierpi — Jego Lokay prawdę mòwił. *odchodzi.*

SCENA VIII.

FALKLAND, BETZI, JULUSIA, HENRYK.

Falkland wſpiera ſię ręką na ſtole Betzi, ſiedzi z dziećmi, Henryk dobywa puliareſu, i piſze w nim.

BETZI, *do dzieci.*

Panna Fanni wam tak piękne dała podarunki, iak powròci z kościoła trzeba ią nazywać Pani Wilſon, iuż waſzą ieſt matką, rozumiecie mnie?

JULUSIA.

Dobrze, dobrze, będę pamiętała.

Wybiera z kuferka małego różne cacka, Betzi robi kieſkę, a Henryk gryzmoli na puliareſie.

FALKLAND, *w krześle.*

Już mi ſił nie ſtaie, od dźwigania ciężaru tego — będę ſię muſiał uwolnić z niego.

BETZI, *patrząc na Henryka.*

A WaćPan widzę cały puliares zagryzmoliſz, pięknie ochraniaſz ſobie dany podarunek od przyſzłey matuli ſwoiey.

HENRYK.

Patrz WaćPana, maluię mego tatula, to iego broda, to uſzy — to kapeluſz, teraz mu nos przyprawię. — *(maluie daley).*

JULUSIA.

Zawſze WaćPan trzpiotem będzieſz.

FALKLAND *tkliwie.*

Uczyniłem ich nieſzczęśliwemi — więc daleko nieſzczęśliwſzym bydź powinienem— mògłemże bydź tak okrutnym dla niey? zdradziwſzy ią podſtępnie, uwiozłem, i potym bez litości porzuciłem. —

wstaie raptem i chodzi prędko.

O! nieszczęśliwa białogłowo! — nieba sprawiedliwe zatrudniaią się zemstą twoią. — Mogłemże znaleść, aby cień szczęśliwości w postanowieniu, które występek, zdrada i wiarołomność poprzedzały?

JULUSIA, *patrząc na Lorda.*

Patrz WaćPanna — wszak to on sam do siebie gada.

BETZI.

Cicho — baw się WaćPanna z bratem (*dzieci stawiaią domy z kart*).

FALKLAND.

A gdy śmierć moiey żony zrywa ten węzeł fatalny; gdy się spieszę poczynione przezemnie nadgrodzić krzywdy, żenić się z matką, i córce moiey stan przyzwoity utwierdzić — niestetyż! Iuż ich nie znayduię — donoszą mi z Neukastl, że od trzech lat to porzuciły miasto. (*siada znowu, i dobywa z kieszeni listu i czyta go.*

BETZI, *patrząc na Lorda.*

Ale w samey rzeczy ten Lord bardzo pomięszany — pewnie wpadł w niełaskę u dworu.

FALKLAND, *oglądaiąc liſt.*

Ale kupiec u ktòrego tak długo mieſzkały, przybędzie do Londynu, i dowiem ſię od Wilſona, gdzie ſtać będzie. *(wſtaie, i chowa liſt)*

BETZI, *do dzieci.*

Ey ey nie trącaycie — bo wam ſię te zamki poobalaią.

FALKLAND, *patrząc na dzieci.*

Nieſtetyż! i ia byłem oycem — a nie użyłem tey roſkoſzy, ktòrą mogłem był koſztować w wychowaniu còrki na łonie moim. — Jeżeli żyie, ieſt w wieku miłości i piękności właściwym; w tym wieku, w ktòrym iey matka nayżywſzą mnie zapaliła miłością, i nadto, na iey nieſzczęście była tkliwą i lekko wierną.

JULUSIA, *poſtrzegaiąc, że na nią Lord patrzy.*

Panno Betzi — o to patrzy na mnie. *(wſtaie i ukłony mu czyni).*

FALKLAND, *całuiąc ią w czoło.*

Jak grzeczne dziecie.

oddala ſię z żalem.

Córko moia! gdzie ieſteś? nieſtetyż! cze-

D 2

muż się z tobą pieścić nie mogę, wywrzeć ku tobie tych słodkich uczuć przyrodzenia, przycisnąć cię uprzeymie do serca mego, i wyzionąć duszę moią na łonie matki twoiey? *(rzuca się w rozpaczy na krzesło).*

HENRYK *pokazuie mu puliares, a koloretkę Julusia.*

Milordzie —

FALKLAND, *odwraca się od dzieci, wspiera się na stole ukrywaiąc twarz rękoma.*

Jakże nędzne iest życie moie, iest dla mnie ciężarem nieznośnym; gdy mi ie na łonie osób, sercu memu naydroższych przepędzać nie wolno, ieżeli ich nie znaydę, śmierć — tak śmierć będzie mi słodszą, ta niebawem zakończy dni moie nieszczęsne.

BETZI, *bierze dzieci zadziwione.*

Pódźcie dzieci — nie naprzykrzaycie się Milordowi. *(idzie z ziemi do sklepu)*

SCENA IX.

FALKLAND, DAWID.

DAWID, *wchodzi przez sklep gdy Betzi wychodzi.*

Idź WaćPanna do sklepu. *(Betzi wychodzi)*

FALKLAND, *do Dawida idącego ku Magazynowi.*

Wilſon długo ſię coś bawi.

DAWID, *przybliżaiąc ſię.*

Milordzie, zapewne iuż wkrotce powroci.

FALKLAND.

A nie wieſz też Wać, ieżeli Koping ſławny kupiec z Nukaſtl tu dziś przybędzie? alby ieżeli iuż nie przybył? może. —

DAWID.

Kupiec z Nukaſtl Milordzie? Pan Wilſon żadney tam nie ma znaiomości, nikogo ſię ztamtąd nieſpodziewa, i żadney tam nawet nie ma korreſpondencyi, o czym Milorda zapewnić mogę — gdyż wnoſzę w kſięgę wſzyſtkie liſty iego.

FALKLAND.

A to iak — przecież ſię nie mylę (*dobywa z kieſzeni liſtu i czyta*).

„ Dowieſz ſię WaćPan u Roberta Wilſo-
„ na gdzie ſtać będzie, może u niego ſame-
„ go„ wſząkże to tu?

DAWID.

Nie Milordzie! tu mieſzka Karol Wilſon,

równość tego nazwiſka ieſt częſtokroć przyczyną, iż ſię nie iedeu pomyli.

FALKLAND, *niecierpliwie.*

Bodayże diabli wzięli tego gamonia Lokaia — gdzież mięſzka Robert Wilſon?

DAWID.

Bliſko moſtu Weſtminſtrſkiego, koło pałacu Lorda Orſey.

FALKLAND, *odchodząc.*

Za co żeś mi Wać zaraz tego niepowiedział? Jużbym ſię z nim był widział — a teraz go może w domu nie zaſtanę (*wchodzi prędko, nie patrząc na Dawida otwieraiącego mu drżwi.*

SCENA X.

DAWID, JAKOB.

DAWID, *patrząc za Lordem.*

A to człek oſobliwy — bez wątpienia, Izby mu bilu iakiego nie przyięły — i zwaryował nieborak — ale gdzież ſię u kata Jakób bawi — ach! idzie przecież.

do Jakóba wchodzącego.

Ale iakżeś ſię długo bawił — a cóż! a pieniądze?

Jakòb smutnie.

Ach? Mospanie Dawidzie, iaka nowina okropna!

DAWID.

Co? còż to ma znaczyć?

JAKÓB.

Sudmer zbankretował.

DAWID, *przeniknіony.*

O nieba! Sudmer by mògł —

JAKÓB.

Nie inaczey; umknął tey nocy, i nikt nie wie dokąd.

SCENA XI.

DAWID, JAKOB, JULUSIA.

JULUSIA, *przybiegaiąc z sklepu do Dawida.*

Mospanie Dawidzie, ubogi przyszedł.

DAWID, *pomięszany.*

Przebóg! co za zdarzenie! to zgubą iego bydź może.

JULUSIA, *biorąc Dawida za rękę.*

Day mi WaćPan z parę szelingów dla tego ubogiego — to biedny staruszek.

DAWID, *nie zważaiąc na Julusię.*

Tak, bez wątpienia — zniszczonym przez to bydź może do szczętu, ieżeli ieszcze wexle wysławione na Norwik nie są — *(postrzegłszy Julusię)* Ey! day mi WaćPanna pokóy.

JULUSIA.

Wszakże WaćPan wiesz, że tatulo rad daie ubogim, i mówi że nad niemi litość mieć trzeba *(biorąc Dawida za rękę tonem proszącym)*. Mospanie Dawidzie! aby ieden szeling — wszakże tatulo tak bogaty.

DAWID, *patrząc na nią smutno.*

Tak bogaty! — któż to WaćPannie powiedział?

JULUSIA.

Panna Betzi — oh! i ia będę bogata, iak urosnę *(słysząc hałas w sklepie, bieży tam)*.

Ach zdaie mi się, że tatulo iuż przyiechał.

DAWID, *do Jakuba.*

Jakóbie, idź WaćPan do Magazynu, i czekay tam na nas — ale dla Boga nie wspominiey o tym nikomu — Nieba! co za los okropny — a w iakiey się zdarzył okoliczności — iakże mu o tym powiedzieć? — *(idzie cały drżąc, Jakób odchodzi)*.

SCENA XII.

DAWID, WILSON, FANNI, Pani SONBRIGE, HENRYK, JULUSIA.

Dzieci całuią ręce Fanni, Henryk do Fanni.

Moia kochana matulu!

JULUSIA.

Pani Wilſon, naſza matula.

FANNI, *do dzieci.*

Tak ieſt, ieſtem iuż Panią Wilſon, i waſzą matką, która was kocha — ſerdecznie.

JULUSIA, *idąc do oyca.*

Gdy WaćPana nie było w domu, tatulu, przyſzedł tu wielki Pan w pięknych ſukniach — miał tu ſzeroką wſtęgę; do ſiebie tylko gadał, a potym mocno mnie ściſnął.

WILSON, *do Dawida.*

Któż tu był?

DAWID.

Lord ieden, który ſię pomylił, rozumieiąc, że przyſzedł do Roberta Wilſona.

PANI SONBRIGE, *do dzieci.*

Pódźcie na górę.

FANNI, *do Wilſona.*

Pòdź WaćPan mężulu. *(Wilſon rękę iey daie).*

DAWID, *ciągnąc Wilſona za ſuknią głoſem cichym.*

Mości Panie! proſzę na ſłowko.

WILSON.

Moy kochany Dawidzie, czyń co ci ſię podoba; zdaie ſię ze wſzyſtkim na ciebie, dziś ſię tylko ſzczęściem moim chcę zatrudniać.

DAWID.

Lecz mam WaćPanu co ważnego powiedzieć.

WILSON.

Còż takiego? — powiedz WaćPan.

FANNI, *widząc Dawida wahaiącego ſię.*

Możeſz WaćPan w moiey przytomności powiedzieć; teraz intereſſa naſze ſtały ſię powſzechne.

DAWID, *pomięſzany.*

Wiem ia o tym Mościa Pani — lecz muſzę niektóre opowiedzieć okoliczności — ktòreby ią znudziły.

PANI SONBRIGE.

Pódź więc moia córko — zostawmy ich tu na moment, niech się rozmowią.

WILSON, *do Fanni.*

Przyidę natychmiast — nie zapomnieyże kochaneczko, że Pastor William iest dziś u nas na obiedzie — zdawna iest moim przyiacielem, niech będzie i twoim.

FANNI.

Mogęż go wyłączyć z liczby mych przyiaciół? — wszakże nas dopiero świętym nieżerwanie połączył węzłem. *odchodzą.*

SCENA XIII.

WILSON, DAWID.

WILSON, *trochę przykro.*

No! cóż tedy WaćPan masz tak pilnego? zapłać to, co zapłacić należy — wszakże iuż musiano powrócić od Sudmera.

DAWID, *smutno.*

Tak iest, powrócił Jakób.

WILSON.

Więc można. —

DAWID.

Nie przyniósł pieniędzy.

WILSON.

Jak to, bez pieniędzy przyszedł?

DAWID.

Sudmer podobno —

WILSON.

Co podobno?

DAWID.

Zbankretował — i schronił się.

WILSON.

Nieba! còż słyszę — czy podobna? iak to, obiaśniey mnie w tym lepiey. —

DAWID.

Jakób w Magazynie — pòdźmy do niego — on naylepiey wszystkie opowie okoliczności — szczęście ieszcze, że Pani Sonbrige dała te 1200 gin na zaspokoienie nayznaczniey-szego wexlu.

WILSON.

Owszem powiększyłoby to nieszczęśliwość moią, gdyby — lecz staraymy się usilnie im

to ukryć, ieżeli podobno będzie, — wesprzę się ieszcze mym kredytem — ieżeli wexle Sudmera wystawione na Norwik są zapłacone — a ieżeli nie — o Nieba! zginąłbym bez ratunku. —

wychodzą do Magazynu.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

SCENA I.

Pani SONBRIGE, FANNI, DAWID.

PANI SONBRIGE i FANNI.

Wychodzą z lewey ſtrony — a wkrótce potym Dawid z Magazynu w ſmutku zanurzony wychodząc gdy ie zobaczy, chce ſię wracać.

FANNI, *wchodząc.*

A gdzież on poſzedł? iakiż interes Dawid miał do niego? w niezmierną mnie to wprowadza troſkliwość.

PANI SONBRIGE.

Otóż Pan Dawid — zapytamy go ſię — muſi nam —

FANNI, *widząc Dawida uciekaiącego.*

Patrz WaćPani — chce zemknąć przed

nami — panie Dawidzie, dokądże to? gdzie móy mąż — cóż tu takiego się stało?

DAWID, *pomięszany.*

Nic — nic takiego Mościa Pani, coby —

FANNI.

A ia widzę po tey minie, że mi coś ukrywasz — za coby wyszedł tak raptownie? — bez wątpienia iakie nieszczęście —

DAWID.

Prawdziwie prożnie się WaćPani trwożysz — to względem sukna, o które kupiec mocno przynagla —

FANNI.

Ach! chce cóż utaić przedemną!

PANI SONBRIGE.

Ukoy się moia córko — oto Pastor William iuż idzie — nietroszcz się bez przyczyny.

DAWID, *na boku.*

Ey gdyby tylko im nie powiedział — bo ci ludzie wszystko wiedzą, i wszystko wyplotą.

SCENA II.

Pani SONBRIGE, FANNI, DAWID, PASTOR WILLIAM, HENRYK, JULUSIA.

Paſtor wchodzi prowadząc dzieci za ręce.

JULUSIA.

Otóż Pan Paſtor iuż przyſzedł — O gdyby tatulo o tym wiedział, zarazby powrocił.

FANNI, *do Paſtora.*

Niepotkałeś WaćPan męża mego? Cośmy tylko powrócili z kościoła, zaraz wyſzedł bez powiedzenia nam ſłowa.

PASTOR.

Trzeba na niego czekać z obiadem, może poſzedł do którego z przyiaciół Sudmera.

DAWID *drgnie przelękniony.*

Moſpanie Paſtor, pochwal WaćPan Juluſię — wczoray ſię całey karty z Biblii nauczyła na pamięć.

PASTOR, *głaſzcząc Juluſię.*

A to pięknie — ucz ſię kochaneczko, i naśladuy we wſzyſtkim tatula i matulę twoią.

JULUSIA.

Julusia.

Ja też tak czynię — mam litość nad ubogiemi — i daię im, kiedy iaki dostanę szyling.

Fanni, *ściskaiąc Julusię.*

Kochane Dziecko!

Pastor, *obłudnie.*

Zachoway zawsze te uczucia pobożne, moia Panienko — Jałmużny dane ubogim i duchownym, są to skarbem, ktòry sobie w niebie zbiera każdy. *(obraca się do Henryka).* a Pan Henryk iestże tak grzecznym i dobrym iak Julusia? — ieżeli tak, zrobię z niego Pastorka; powinnością twoią będzie kochanku — wspierać i cieszyć twych braci — iestże na świecie stan szlachetnieyszy nad ten? — Niebo ieszcze w tym życiu błogosławi duszom dobroczynnym — patrz iak się szczęśliwie twemu powodzi tatulowi — otòż to dla tego, że ile możności wspiera nędznych, że duchownych kocha, i dobrze im czyni.

Pani Sonbrige.

Jest to roskoszą dla serc czułych.

Fanni.

I powinnością nayslodszą nieszczęsnych ratować.

PASTOR, *do Fanni.*

Te uczucia ſą dowodem duſzy bogoboyney, ach! to ſerce cnotliwe znalazło towarzyſza godnego ſiebie, w małżonku z którym ią dopiero złączyłem — od lat dzieſięciu mym naylepſzym ieſt przyiacielem; Jego cnoty — dobroć, ludzkość i wſpaniałość przywiązały mnie do niego na zawſze — hoy! gdyby Sudmer —

DAWID, *drżąc przerywa mu.*

A iak ſię też ten ſławny rozboynik dyſponował — którego —

FANNI, *widząc iego pomieſzanie.*

Ale nie przeryway WaćPan.

PASTOR.

Tak, gdyby podobne miał ſerce, żałowanoby go; i znalazłby wſparcie w ſwym upadku.

PANI SONBRIGE *niecierpliwie.*

A cóż mu ſię to ſtało?

PASTOR.

Nie wieſz to WaćPani? — zbankrutował.

Pani Sonbrige.

O nieba! Sudmer temu podpadł nieszczęściu? (*Fanni widząc pomieszanie Dawida*).

Pastor.

Spodziewałem ia się tego — że źle skończy — prosiłem go — iest temu trzy miesiące, o kilka gin, na zapomożenie podupadłey familii: a on iey swoie odmowił wsparcie — przepowiedziałem zaraz upadek iego — otóż się i ziścił — dobrze mu tak — Taką zazwyczay odbieraią nadgrodę ludzie maiący serce twarde i nielitościwe.

Fanni.

Ach! zapewne i mąż móy na tym szkoduie.

Pani Sonbrige.

Traci bezwątpienia te 2000 funtów sterlingów, po które dziś posłał do niego.

Pastor.

Może — bo Sudmer umknął dzisieyszey nocy.

Fanni *do Dawida.*

Cóż Panie Dawidzie? otóż to —

DAWID.

Nieſtetyż! aż nadto prawda, otóż to ten nieſzczęſny przypadek, który WaćPaństwu ukryć chciałem; i dla którego Pan Wilſon wyſzedł na miaſto.

FANNI *do Paſtora.*

Przynaymniey to ſzczęściem dla nas, żeś WaćPan tu przyſzedł — użyi wſzyſtkich powodów duchownych na pocieſzenie męża mego.

PASTOR *zamyſlony.*

Dwa tyſiące funtów ſterlingòw przez to traci zbankrutowanie? *(dobywa z kieſzeni wexel, który czyta, choć Fanni mòwi do niego.)*

FANNI.

Przecież to nieſzczęście, nie będzie zupełnym upadkiem iego — dla mnie tylko żywiey dotykać go będzie — lecz powiedz mu WaćPan, iż wſkroś poznałeś ſerce moie, że go dla tego ani mniey kochać, ani też mniey z nim ſzczęśliwą ſądzić ſię nie będę — wſpieray go proſzę radą i przyiaźnią ſwoią.

PASTOR, *trzymaiąc w ręku wexel.*

Wybacz mi kochana Pani — nie mogę

dziś bydź u WaćPaństwa na obiedzie, przypomniałem sobie interes ważny.

Pani Sonbrige.

Ach! Panie Pastor! możeż być ważnieyszy nad powinność pocieszenia i dopomagania przyiacielowi w nieszczęściu będącemu?

Pastor.

Niebo mym świadkiem, iż taki iest móy zamiar — chcę mu się przysłużyć — i dla tego zostać nie mogę — pòydę ich prosić, aby wzgląd mieli na to fatalne zdarzenie — prawdziwie, rozpacz mnie bierze — żem to wziął na siebie —

Fanni.

Cóż takiego? powiedz wyraźniey, cóż to?

Pastor, *patrząc na wexel.*

Dla Boga! to nie moie pieniądze — dany mi iest ten wexel Pana Wilsona na 482. funtów sterlingów — powierzona mi ta summa — odpowiedzieć za nią muszę — Osoby miłosierne — pod mym imieniem, przez ręce moie pobożne wypełniaią uczynki — pod sumieniem przestrzeć ich muszę — lecz się spodziewam, że na proźby moie czekać będą

E 3

— iednakowòż prawdę mówiąc, Pan Wilſon zupełnie tym razem zniſzczonym bydź może, inni wierzyciele — maiący iego wexle — będą bez wątpienia go gnębić do reſzty — gdyby więc bez względu na intereſſowanie ſię moie zaproteſtowano ten wexel — i rzeczy WaćPańſtwu ſądownie zabrano — proſzę mi tych nie przypiſać kroków — uczynię na zwrocenie ich, co w mocy moiey będzie — lecz gdy ſię uproſić nie dadzą — kłaniam uniżenie — muſzę póyść koniecznie.

FANNI *do Paſtora.*

Zmiłuy ſię WaćPan — wſzak —

PASTOR *odchodząc.*

Jeſt to obowiązkiem ſumnienia mego —

FANNI *zatrzymuiąc go.*

Zaſpokoię ia to ſumnienie delikatne, zaczekay moment (*wyimuie kolczyki; gdy to Paſtor poſtrzega, ciągnie ią na bok, i zaſłania ią, aby tego nikt nie widział.*)

DAWID *do Pani Sonbrige.*

Nieſzczęſny obłudnik — on ſam tym lichwiarzem — poznałem ten wexel, on iego właścicielem.

Fanni, *daiąc Pastorowi kolczyki i pierścień.*

Otóż WaćPanu daie kleynoty moie, więcey daleko warte niż summa, która mu się należy — weś ie WaćPan — niech będą bespieczeństwem dla tych, którzy go do tak pobożnych używaią uczynków.

Pastor, *biorąc kleynoty, a oddawaiąc wexel.*

Prawdziwie, mimo chęć moią przyiąć ie muszę — O! bodayby tylko mnie samego ten interes się tyczył! lecz osoby pobożne są czasem tak podeyźrzliwe — a stan nasz tak delikatny — gdyby to tylko mnie interessowało — lecz nie sądzę, aby kto rozumiał — a mianowicie WaćPani oddasz mi sprawiedliwość — Pan Wilson przyiaciel mòy zna mnie nad to, żeby —

Fanni *głosem słabym.*

Prawda Mospanie — aż nadto poznaliśmy go — kłaniam.

Dawid.

Teraz Pan Pastor, tu obiad zieść może, interes òw pilny zakończył iuż pomyślnie.

PASTOR *miną fałſzywą chowaiąc kleynoty.*

Boſkiey pieczy polecam wſzyſtkich — nayniżſzy, nayniżſzy. *(kłania ſię Pani Sonbrige, nie patrząc na nią, wſzyſcy patrzą za nim z oſtatnią pogardą.)*

SCENA III.

Pani SONBRIGE, FANNI, DAWID, JULUSIA.

PANI SONBRIGE *do Fanni.*

Ukoy żal twóy kochana corko — mąż twóy tylko 2000. funtów ſterlingów w tym traci trefunku — zapłaciłyśmy tyle za niego — dałam mu dziś rano 1200 gin — więc ſię intereſſa iego poprawić mogą.

FANNI *do Matki.*

Nieſkończenie więcey WaćPani winna ieſtem za to dobrodzieyſtwo, niż za naywiękſzy poſag; lecz znam ſerce Wilſona — wyſtawiam ſobie boleść iego — podła chciwość tego obłudnego Paſtora, i —

DAWID *tkliwie.*

Ach! gdybyś WaćPani wiedziała wiele dobrodzieyſtw Pan Wilſon temu hypokrycie wyświadczył.

Pani Sonbrige *biorąc Fanni za rękę.*

Idź do twego pokoiu, moia còrko — i uſpokoy ſię — a WaćPan tu zoſtań Dawidzie — zeydę tu zaraz. *odchodzą.*

SCENA IV.

DAWID *ſam.*

Co za kobiety nieoſzacowane! — iakże Pan Wilſon ſzczęśliwy, że ſię z tą cnotliwą złączył familią — ale ten Paſtor iakże podłą ma duſzą, obłudnik bezecny — nie gada iak o cnocie, a ſam iey nie zna, iakże ſię nie ludzkim i bezlitośnym pokazał! przedziwnie pocieſzył przyiacioł ſwoich — Boże! iakże my cnotę kochać mamy, kiedy ci, którzy iey powinni bydź przykładem, tak mało iey maią!

Widząc wchodzacych wiele ludzi z ſtrony ſklepu.

Còż to za ludzie? — chwała bogu, że dziś iuż nic nie mamy do zapłacenia — muſzę ich ſię ſpytać, co chcą. (*gdy idzie ku ſklepowi, Urzędnik Sądowy z ſześcią żołnierzami raptem drzwi otwiera, i wpada na Scenę.*)

SCENA V.

DAWID, URZĘDNIK, *sześciu żołnierzy.*

URZĘDNIK *do Dawida.*

Czy Pan Wilſon w domu?

DAWID.

Nie, Moſpanie, wyſzedł nie dawno.

URZĘDNIK.

Nie maſz go? nie dziwuię ſię temu, zapewne ſię naſzey ſpodziewał wizyty.

DAWID.

Cóż to znaczy? cóż WaćPan chceſz?

URZĘDNIK, *dobywa papiery.*

Jeſtem ukażycielem wexlów przez niego wyſtawionych, a nie zapłaconych w Norwiku.

DAWID *przelękniony.*

O nieba! — te węxle nie zapłacone?

URZĘDNIK.

Nie, zbankretowanie kupca Norwikſkiego, ieſt przyczyną upadku tuteyſzego bankiera Sudmera — te wexle tam ſą zaproteſtowane,

a właścicielę onych otrzymali tu naſtępnie na Pana Wilſona dekret — mocą ktòrego przyſzedłem zabrać, i zaukcyonować meble i rzeczy iego — ieżeli natychmiaſt ſwych wexlow nie zapłaci — lecz te ſummy tak znaczne, że podobno —

SCENA VI.

DAWID, URZĘDNIK, Pani SONBRIGE, WILSON, Żołnierze.

Pani Sonbrige, *maiąc w ręku wexel Paſtora, i zadziwiona widząc tyle ludzi.*

Dla Boga, co tu ludzi — Dawidzie, cóż to oni chcą? — ach oddycham przecie — Pan Wilſon widzę iuż powròcił. (*bieży do Wilſona, który wchodzi z miną ſmutną, i zadrży z przeſtrachu, gdy zobaczy Urzędnika z żołnierzami.*)

Ukoy WaćPan żałość ſwoią — ſtrata WaćPana nie ieſt tak znaczna, powinſzuy nam żeś my ią w tym momencie nadgrodzić mogły — Już nic nie maſz do zapłacenia — otoż i drugi wexel zaſpokoiony. (*okazuie mu wexel Paſtora William.*)

Wilson *zadziwiony nadzwyczaynie.*

Co WaćPani mòwiſz? czym? i iak?

PANI SONBRIGE.

Fanni ſwe dała kleynoty!

WILSON.

Swe kleynoty? — Fanni — cóż ſłyſzę!

PANI SONBRIGE.

Wiedz przyiacielu! iż więcey daleko miała ukontentowania z nich ſię dla WaćPana ogołócić; niż niemi ſię zdobić — znaſz iey ſerce — wcale ſię temu nie dziwuy — biegay WaćPan do niey.

WILSON.

O Fanni — Fanni — *(rzuca ſię z rozpaczą na ręce Pani Sonbrige).* Ach Pani moia! cożeście uczyniły obydwie? Nieſtetyż! chęć ratowania mnie, pogrążyła was w zgubę moią — otóż to moiey dopełnia rozpaczy — Wiedzże WaćPani o tym, żem zgubiony, zniſzczony do ſzczętu, i bez nadziei podźwignienia ſię — Patrz WaćPani ci ludzie — wſzyſtko mi zabiorą — ach idź do Fanni — nie opuſzczay iey — niech tu nie przychodzi, aby nie była świadkiem tey ſceny okropney.

DAWID, *płacząc na boku.*

Co za widok dla mnie!

PANI SONBRIGE *rzucaiąc ſię na Wilſona.*

O nieba! czy podobno!

WILSON *przymuſzaiąc ſię.*

Zoſtałem bez ſpoſobu; moy korreſpondent Norwikſki, kompania Sudmera uchybił także — i cały maiątek mòy nie wyſtarczy — proſzę, idź WaćPani do Fanni; *(prowadzi Panią Sonbrige ku ſchodom)* Oddał ſię WaćPani — aby oczy iey nie widziały — co za raz okrutny — nie zznioſę go nigdy.

Pani Sonbrige wychodzi płacząc.

SCENA VII.

WILSON, DAWID, URZĘDNIK, Zołnierze.

Wilſon rzuca ſię na krzeſło pełen boleści, Dawid płacze.

UNTEROFICIER.

Moſpanie! nie traćmy czaſu, dziś aukcya publiczna — zabrawſzy ſię ſkrętnie do rzeczy, możnaby dziś ieſzcze z połowę zawieść i przedać.

URZĘDNIK.

To prawda; lecz trzeba w przód przey-

rzeć kantor i ſzafy — a potym ſprzątnąć meble.

idzie do Wilſona.

Załuię ſerdecznie WaćPana — ale powinności moiey zadoſyć uczynić muſzę — chciey mi WaćPan oddać klucze — bo inaczey byłbym przymuſzony —

WILSON *przenikniony ſpoyrzy na Urzędnika, mówi głoſem ſłabym.*

Dawidzie — odday WaćPan klucze.

URZĘDNIK *do Dawida.*

Proſzę o klucze.

DAWID, *ſzlochaiąc i odwracaiąc ſię dobywa pęk kluczy z kieſzeni, i rzuca ie na ziemię.*

Naści ie.

URZĘDNIK *podnioſłſzy klucze do żołnierzy.*

Rozdzielmy ſię teraz — iedni poydą do ſklepu, drudzy do magazynu, a reſzta do warſztatnicy — trzebaby także poyść iednemu na gorę, żeby co nie zemknęli — a ieſtże też bryka?

UNTEROFICIER.

Przyſzła iuż — w momencie wſzyſtko po-

przątniemy. *(rozchodzą ſię żołnierze, i kręcą ſię na ſcenie, wynoſząc meble i różne rzeczy — rozruch wielki w całym domu.)*

SCENA VIII.

DAWID, WILSON, *każdy na innym boku.*

WILSON *ſiedząc.*

Zdaie mi ſię, iakoby przeznaczenie umyślnie czekało, ażby ią węzeł fatalny nierozerwanie zemną złączył, aby nas razem w tę przepaść ſtrąciło — ach! doba ich nieſzczęſna, żywiey mnie dotyka, niż los moy opłakany.

DAWID *z drugiey ſtrony.*

Nieſtetyż! ia który za oyca iego tę uſtanowiłem fabrykę, i tak długo ią w kwitnącym widziałem ſtanie, Boże! mogłżem ſię ſpodziewać, aby oczy moie były świadkiem iey zniſzczenia!

WILSON *wſtaiąc.*

Co tylko ślub z nią wziąłem — ogałacaią ſię dla mnie ze wſzyſtkiego — z pieniędzy, kleynotow — nic ſobie nie zoſtawuią, aj na nic ſię to nie żda, utracaią wſzyſtko — ſą bez śrzodku ratowania ſię — i do oſtatniey przywiedzione nędzy — iey miłość dla mnie, ich ſerca wſpaniałe, gubią ie na zawſze.

DAWID.

Spodziewałem ſię tu umrzeć ſpokoynie — a teraz podobno umrę z boleści.

SCENA IX.

WILSON, DAWID, *Lokay w bótach pocztarſkich, harapnikiem, zaſtanawia ſię, widząc rozruch w domu.*

WILSON *idąc do Lokaia tonem wyſokim.*

Czego Wać chceſz?

LOKAY.

Chciałbym ſię widzieć z Panią Sonbrige.

WILSON *żywiey.*

Na co? od kogo? co chceſz od niey?

LOKAY.

Przyſzedłem po odpowiedź na liſt, który iey wczoray przynioſłem — przyſłany tu ieſtem od Milorda Orſey.

WILSON *drgnąwſzy, idzie na przodek Teatru.*

Chciał ſię z nią żenić; dać iey ſwe imie, godność i fortunę — a dla mnie wſzyſtkiego ſię

ſię zrzekła — mnie nad nim dała pierwſzeńſtwo, i wzięła za męża — otòż, iaki iey los uczyniłem (*ſiada na krzeſło*).

LOKAY *widząc co ſię dzieie w domu.*

Co za odmiana od dnia wczorayſzego, co za dola okropna!

DAWID *biorąc Lokaia za rękę, myśliwſzy wprzòd cokolwiek.*

WaćPan powiadaſz, iż przyſłany ieſteś od Lorda Orſey? — a ieſtże on w Londynie?

LOKAY.

Nie maſz go ieſzcze, lecz przybędzie nie zadługo — miał po mnie w godzinę wyiechać.

DAWID.

Jakiż też to człowiek, ten Milord?

LOKAY.

Ach! to Pan naylepſzy na świecie, ieſt ludzkim, wſpaniałym, i każdemu gotòw dobrze uczynić.

DAWID.

Doſyć mi to wiedzieć. (*porzuca Lokaia, i mòwi na boku*) Kochał ſię w Fanni — iuż iego bydź nie może, nie rad ią iednak w nędzy będzie widział — Miłość, wſpaniałość — a potym niezmierne bogactwa — dobrze —

myśl moią wykonać potrzeba, podź WaćPan, będziemy czekali powrotu Milorda.

LOKAY.

Jakże? gdzież Pani Sonbrige! muszę mieć odpowiedź!

DAWID.

Ja mu ią sam zaniosę, podźmy czym prędzey *(na boku)*, o Boże! błogosław zamysłom moim — natkniy serce iego, abym go zmiękczyć potrafił, i nieszczęśliwego Pana mego poratował. *(wychodzi z Lokaiem.)*

SCENA X.

WILSON, *sześciu sukienników iego.*

WILSON *siedząc, w głębokim zamyśleniu.*

Bezemnie — bezemnie — iutroby iuż była Lady — poszłaby była za tego Lorda — a teraz bez chleba została. — *(sukiennicy odpędzeni od warsztatów w kamizelkach, i przy fartuchach wychodzą na scenę zasmuceni)*

Sukiennik ieden.

Móy Boże! co za szkoda — Pan to był nieoszacowany — ach! nie masz na świecie szczęścia dla ludzi poczciwych, otóż iest —

w iak głębokim ſmutku pogrążony — (*ſtoią zaſmuceni*).

SCENA XI.

WILSON, SUKIENNICY, URZĘDNIK, JULUSIA.

URZĘDNIK, *zatrzymuiąc ludzi wynoſzących meble.*

Poczekaycie — można tu ieſzcze na wierzch ten zegar położyć. (*odeymuie z komina zegar*)

Juluſia wchodzi zadziwiona patrzy ſmutna na meble i Urzędnika.

WILSON *uyrzawſzy ſukiennikow, do Urzędnika.*

Moſpanie — otòż tu przyśli ubodzy rzemieślnicy — winienem im za poł mieſiąca, płacę wynoſzącą tylko dzieſięć gin — proſzę WaćPana, zapłać im z pieniędzy, ktòreś znalazł w biorku.

URZĘDNIK *zdeymuiąc zegar.*

Nie mogę tego uczynić; wſzyſtko co tu ieſt, należy do Pana Artur; dla niego wy-

konywam dekret. *(kładzie zegar na inne rzeczy, które wynoſzą)* Idźcież teraz, lecz oſtrożnie, żebyście czego nie zepſuli.

JULUSIA, *przychodząc do oyca, i płacząc.*

Móy tatulu, wſzyſtko nam zabieraią, naſze łożka, krzeſła, kanapy, zwierciadła, nawet zegar i wſzyſtko, *(rzucaiąc ſię na łono iego)* Babuleńka, maſulenka, Betzey, i wſzyſcy tam płaczą. *(dobywa chuſtki i uciera łzy)*

WILSON, *czuiąc nayżywſzą żałość zaczyna ſzlochać mocno, i ściſka ſwą corkę.*

O nieſzczęśliwe dziecko moie! *(do ſukienników)* — Patrzcie moi przyiaciele na opłakaną dolę moią — winienem wam, a nie mam wam czym zapłacić.

Płacze ściſkaiąc corkę, i wſzyſcy rzemieślnicy płaczą.

SUKIENNIK *ieden.*

O kochany Panie! nie myśl o nas — ſzczególnie nad WaćPana płaczemy ſtanem.

WILSON *uyrzawſzy rożyczkę dyamentową u koloretki, ściſka corkę.*

Moia kochaneczko! nie chciałabyś ty mnie dać ſwoią koloretkę?

JULUSIA *odpinaiąc ią prędko.*

Czemuż nie, móy tatulu, naści ią Wać Pan, *(cackaiąc ſię z oycem)* weź WaćPan wſzyſtko, co mam, a nie płacz — może ieſzcze kiedy będziemy bogate — mi — ach— gdybym kiedykolwiek zoſtała bogatą, niczegobym WaćPanu nie żałowała.

WILSON *patrząc żywniey, i daiąc koloretkę ſukiennikom.*

Nacież moi przyiaciele, otóż wſzyſtko co mi zoſtało, waście co wam dać mogę. Doſtaniecie zatym za nią 10 gin, warte daleko więcey. *(wſzyſcy ſukiennicy odſuwaią ſię z natrętnoſcią.)*

RZEMIEŚLNIK.

Ach Moſpanie! broń Boże nigdy — owſzem gotowiśmy dać za Pana wſzyſtko, co poſiadamy, lecz nieſtetyż! ubodzyśmy tylko ludzie. *(wychodzą powoli ſzlochaiąc)*

SCENA XII.

WILSON, JULUSIA.

Wilſon ſpoyrzy na wychodzących ſwych rzemieślnikow, wſpiera ſię na ſtole, i ſpuſzcza rękę, którą im podawał koloretkę.

JULUSIA *odbieraiąc koloretkę.*

Ci ludzie nie ſą tacy, iak Pan Paſtor, wziąłby ią był zapewnie, ponieważ wydarł kolczyki moiey matuli.

WILSON *wſtawſzy, chodzi prędko.*

Lecz przychodzi mi na myśl śrzodek pewny — tak ieſt, nie zawodny — nie odmienię zamiaru tego — tak — trzeba koniecznie.

JULUSIA *do Oyca.*

Tatułenku, podź WaćPan na gòrę do matuli i babuli — bardzo ſię ſmucą — pocieſzyſz ie WaćPan.

WILSON.

Nie inaczey — pòyść trzeba — lecz zamyſłu mego w niczym — wydać nie muſzę — i iak tylko noc nadeydzie — pódź Julúſiu!

prowadzi powoli corkę, i zatrzymuie ſię często.

O nieba! drżę cały! iakież to będzie potkanie ſię z niemi, gdy ſię zobaczemy; boleść i rozpacz naſza, podwoią ſię ieſzcze.

wychodzi lewą ſtroną.

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

Teatr ciemny; ſiódma z wieczora.

SCENA I.

WILSON ſam.

wchodzi z lewey ſtrony, maiąc lampę, którą ſtawia na ſtoliku, z rozpaczą mówi.

Już nadeſzła godzina — noc ſię zbliżyła — iuż nigdy nie zobaczę ſłońca promieni — życie moie będzie tylko nieſzczęſne i fatalne dla oſób, które mi naydroższe na świecie — śmierć moia wyrwie ie z przepaści, w którą ie nieſzczęście pogrążyło —— Fanni ſtawſzy ſię żoną Milorda — o dzieciach moich mieć będzie ſtaranie — będzie im matką — znam iey ſerce dobroczynne — lecz potrzeba, aby moie wiedziała zamiary — i Milor-

da Orſey uwiadomić muſzę — napiſzę więc do nich.

ſiada u ſtolika, bierze papier i pioro.

Będzie to teſtamentem śmierci moiey (*piſze*) „Byway zdrowa ulubiona Fanni! węzeł „ który nas — — — — już ieſt zerwany — — — — — już nie „ maſz męża —— zalecam ci dzieci moie „ — — — Odday Milordowi Orſey „ rękę twoią — — — ieſt to oſtatnia „ wola męża, który cię do oſtatniego tknienia ubaża, i który tylko dla tego umiera, „ abyś ſzczęśliwſzy zawarła związek. „

Teraz do Milorda. (*bierze pióra i rzuca ie*) O nieba! więc ią poſiadać będzie? ha! konieczną ieſt potrzebą — myśl tego ſama nayokropnieyſzą ieſt dla mnie — na naywiękſzą odwagę zdobyć ſię muſzę (*bierze pioro i piſze*). „ Milordzie, racz uſzczęśliwić kochaną Fanni moią — niech twa miłość „ ſtateczna ku niey, i twoia wſpaniała opieka nad ubogiemi dziećmi moiemi, będą „ ceną ofiary, którą czynię dla ciebie, i owocem śmierci nieſzczęśliwego Wilſona. „ — (*ſkłada liſty, i podpiſuie ie*).

SCENA II.

WILSON, BETZI, JULUSIA, HENRYK.

BETZI, *wchodzi z dziećmi, gdy liſty pieczętuie.*

Idźcie powiedzieć dobrą noc tatulowi ſwemu, *(przybliżaiąc ſię do niego)* Mòy Panie, zaprowadzę dzieci do bliſkiego ſąſiada Pana Patrys — chce ie na tę noc przyiąć do ſiebie.

Wilſon poſtrzegłſzy dzieci, rzuca ſię z rozpaczy na ſtoł, i twarz ſobie zakrywa.

JULUSIA.

Dobra noc tatulu! uściſkay nas WaćPan, nim ſpać poydziemy.

WILSON *wſtaie, ściſka dzieci z nayżywſzą uprzeymością, ſpoyrzy zapłakanemi oczyma na Betzi.*

Moia Betzi, zoſtaw mi tu dzieci — niech ie uściſkam — przyidzieſz po nie za moment — proś Fanni, żeby tu zeſzła do mnie.

BETZI.

Nie wieſz też WaćPan, gdzie poſzedł Dawid? — nie maſz go od trzech godzin, nie ſpokoyniśmy o niego —

Wilson.

Nie wiem — może poszedł sobie mieysca szukać — niestetyż! bo umnie iuż —

Betzi, *tonem proszącym.*

Ach Panie kochany! o iednę cię proszę łaskę — nie odprawiay mnie WaćPan, darmo mu służyć będę.

Wilson *wyciągaiąc do niey rękę, którą Betzi kilka razy całuie.*

Nie, kochana Betzi zostaniesz przy moich dzieciach, owszem cię proszę, abyś ich nie porzuciła. *Betzi odchodzi lewą stroną.*

SCENA III.

WILSON, JULUSIA, HENRYK.

Julusia *bierze list, który oyciec napisał, i zaczyna czytać podpis.*

Do rąk Pa — ni.

Wilson *wyrywaiąc list Julusi.*

Co ty robisz — odday sam — (*wstaie, trzymaiąc w ręku oba listy, i czyta iednego adress*) Do rąk Pani Wilson — Fatalne to

dla niey nazwiſko, lecz odmieni ſię w krótce, na ſzczęśliwſze — nieba! — ſpełniycie me śluby — oddam ten liſt na pocztę Londyńſką — a Fanni dopiero iutro go odbierze, *(patrząc na drugi liſt)* Co ten — to ſam zanioſę do Pałacu Milorda Orſey; i iak go tylko oddam odźwiernemu — zaraz — tak — niedaleko ztamtąd do moſtu —

HENRYK.

Móy tatulu —

JULUSIA, *do Brata.*

Tatulo naſz bardzo zmartwiony — a ty na to nie uważaſz —

WILSON *patrząc na dzieci.*

Rozłączę ſię więc z niemi na zawſze — ta myśl ſerce moie napełnia rozpaczą, Boże dobrotliwy! zmiłuy ſię nad niemi — niech będą ſzczęśliwſzemi odemnie — ubogie dzieci — w wieku tak młodym, ſierotami zoſtaną *(zobaczywſzy Fanni).* Lecz im naylepſzą zoſtawię matkę.

SCENA IV.

WILSON, FANNI, HENRYK, JULUSIA.

FANNI *wchodząc z lewey strony zobaczywszy drzwami sklep wypróżniony, wzdycha, i bieży do Wilsona.*

Ach! kochany mężu, ukoyże boleść twoią, iest to środek iedyny, ktòrym osłodzisz umartwienie moie — coż iuż czynić — iesteśmy wprawdzie ubogiemi; bo nam wszystko zabrano, lecz miłość i cnota nam została — a kto to ma — dosyć iest bogaty, i szczęśliwym przeto być może — mieymy tylko odwagę i cierpliwość.

WILSON *ściskaiąc ią.*

O! nieoszacowana Fanni.

FANNI.

Mamy ieszcze młodość i siłę, pracą rąk naszych, i przemysłem wyżywiemy się z matką moią i dziećmi twemi.

WILSON *zadrży.*

Ach! naymilsza żono, wszakże iuż i twoie.

FANNI.

Bez wątpienia móy luby przyiacielu, ſą i moiemi — alboż ich nie mam za ſwoie? — dawno ie ſerce moie kocha, a teraz tym bardziey — proſzę cię więc miarkuy ſwe umartwienie — ſtan ten podobny rozpaczy, nieznośnym ieſt dla mnie.

WILSON.

O! Fanni nieſzczęśliwa, do oſtatniey cię przywiodłem nędzy — ach co za dzień okropny — iakie zamęście opłakane!

FANNI.

Uſzczęśliwia mnie iednak, i zawſze mu błogoſławić będę — kochany mężu! nie wygładzęż więc z twey pamięci nieſzczęść twoich? — nie ieſtem ci więc miłą, i nic u ciebie nie ważę, ieżeli twego umartwienia oſłodzić, ani uleczyć nie mogę przeznaczenia, które mam za ſzczęście dzielić z tobą — co? coż widzę — twoia ſię boleść powiękſza? — te obłąkane weyrzenia — ſzlochania — ach okrutny o śmierć mnie przyprawiſz. (*ſiada na krześle, i wſpiera ſię ręką na ſtole*)

WILSON *uczyniwſzy kilka kroków w nadzwyczaynym pomieſzaniu, obraca oczy wnet na dzieci, wnet na żonę, ſiada przy niey, i ściſka ią.*

Więc mię zawſze kochać będzieſz?

FANNI.

Możnaſz mnie o to pytać? niebo mym świadkiem, że teraz ieſzcze dla bogactw świata całego, nie obrałabym ſobie innego małżonka.

WILSON *ściſkaiąc, i pokazuie iey dzieci.*

Patrz na te biedne dzieci — nieſtetyż! nie czuią ieſzcze nieſzczęścia ſwego — twoia im tylko zoſtanie miłość.

FANNI.

Mogą ſię odemnie nayżywſzego ſpodziewać przywiązania — i ty świadkiem tego będzieſz.

WILSON *wſtaiąc.*

Dobrze kochana Fanni — przywłaſzcz ie ſobie, i nie opuſzczay ich nigdy. *(bierze*

dzieci, i prowadzi do nog iey) pódźcie moie dzieci — Fanni teraz będzie matką waſzą — proście ią na kolanach o miłość macierzyńſką. (*dzieci klękaią przed Fanni, która ſię na nie ſchyla, i twarz zakrywa*) kochaycie i ſzanuycie ią — moie dzieci — a ty naymilſza Fanni, kochay w nich naynieſzczęśliwſzego ich oyca.

JULUSIA *ściſkaiąc iey kolana, i całuiąc rękę z bratem.*

Kochay nas matulu, bo my cię z całey duſzy kochać będziemy.

FANNI *ſzlochaiąc.*

Ach! mężu ukochany — dla czegoż ſię tak nadzwyczaynie rozrzewniamy? nie ſtrzymam tey ſceny — Tak ieſt kochane dzieci — ieſtem matką waſzą — dopomagać mi będziecie cieſzyć oyca waſzego.

WILSON *podnoſząc dzieci, ściſka ie.*

Biedne ſieroty! w niey wſzyſtka nadzieia waſza — Juluſiu weś ią za wzor do naśladowania — Henryku, ty ſtarſzy ieſteś od ſioſtry

fiostry swoiey, więc przypominay iey często — zdradzam się — rozpacz mi odbiera zmysły (*chodzi prędko, i głosem cichym*). Jakaż to męka okrutna — odedrzeć się od tego, co mi naydroższego na świecie! — Zona! dzieci! ach! nadto mocne ogniwa, które mnie do nich wiążą (*przychodzi do Fanni*) Zono moia! nayukochańsza żona — niestetyż! to miłe przezwisko twego nie stanowi szczęścia.

Fanni *tkliwie.*

Co ty mówisz? — owszem iest uszczęśliwieniem, i rozkoszą moią — okrutniku — możeżli wątpić o tym?

Wilson *nayżywiey.*

Nie troszcz się kochanko moia, los się twóy w krótce odmieni — będziesz szczęśliwszą.

SCENA V.

WILSON, FANNI, Pani SONBRIGE.

WILSON *prowadząc dzieci do Panni Sonbrige.*

Spodziewam ſię, Pani moia, że zechceſz także mieć opiekę nad dziećmi moiemi, i dzielić z ſwą córką uprzeymość i przywiązanie matki dobroczynney.

PANI SONBRIGE *zadziwiona.*

Bądź WacPan pewnien, że ie tak kocham, iak właſne dzieci moie — uſpokòy ſię tylko —prawdziwie więceyby męſzczyźnie odwagi mieć potrzeba.

WILSON.

Doſyć czuię odwagi —— mam iey aż nadto.

PANI SONBRIGE.

Okaż ią więc WaćPan w tym momencie.

WILSON.

Dobrze — iuż poźno, czas iuż, żeby

dzieci moie ſpać poſzły (*ściſka dzieci uſiłuiąc utrzymać boleść ſwoią*) dobra noc moie dzieci, dobra noc, o nieba! (*na boku*) iuż ie oſtatni raz widzę — okrutne przeznaczenie! —

PANI SONBRIGE.

Zaprowadzę ie do Betzi, czeka na nie.

WILSON *zatrzymuiąc Panią Sonbrige.*

Betzi bardzo do nich przywiązana, od dzieciństwa przy ich była matce; i wypielęgnowała ie ſtarownie: nie trzebaby iey oddalać od nich.

PANI SONBRIGE.

Zapewne, dobra to dziewczyna, nie chce w tey nieſzczęśliwey dobie porzucać WaćPana.

wychodzi lewą ſtroną z dziećmi.

SCENA VI.

WILSON, FANNI.

WILSON *do Pani Sonbrige wychodzącey.*

Chcieyże WaćPani powrocić do Fanni (*na wyiściu*) skończmy teraz tę rolę okropną — nie uściskałem iey ieszcze — nie podobna, abym się tak z nią rozrączył.

FANNI *z uprzeymą boleścią.*

O luby przyiacielu!

WILSON *ściskaiąc ią.*

Naymilsza małżonko; (*porzuca ią, i znowu ściska, odrywa się nakoniec gwałtownie, i wychodząc przez sklep*) Ach! to więcey niż tysiąc śmierci.

SCENA VII.

FANNI, SONBRIGE.

PANI SONBRIGE *wychodząc z lewey strony do Fanni.*

Tyś tu sama? — gdzież poszedł Wilson?

Fanni *wstaiąc.*

Dopiero mię porzucił.

Pani Sonbrige.

Ukoy twe umartwienia, kochana córko! uzbroy serce w odwagę; aby iey nabrał od ciebie mąż twòy zmartwiony — trzeba umieć znosić cierpliwie stan ten opłakany — odmienić się przecie może — Napiszę do Lorda Falkland — porzucił mnie i zdradził! lecz swey córki nie zostawi w ubostwie — Gdybym tylko dostatków i bogactw była pragnęła, byłabym kontenta — chciałam dobr bezcennych dla mnie — serca iego — przezwyciężę się dla ciebie, i napiszę do niego.

Fanni *pochylaiąc się na ręce matki.*

O nayszacownieysza matko! — Przebòg — czy podobna, aby ten, którego śmiem oycem nazywać, mògł o tobie zapomnieć? pódźmy na gòrę — nie porzucaymy Wilsona samemu sobie — nieszczęście obłąkało zmysły iego.

Pani Sonbrige *postrzegaiąc Dawida.*

Panie Dawidzie —

SCENA VIII.

Pani SONBRIGE, FANNI, DAWID.

DAWID *z twarzą radosną.*

Utrzeycie łzy wasze moie Panie, wszystko się poprawiło, ucisk się skończył, i nie masz tu więcey nieszczęśliwych.

PANI SONBRIGE.

Cóż to iest? cóż to znaczy?

DAWID, *przeniknìony radością.*

Patrzcie, te łzy radość wyciska, otóż to naysłodszy moment życia moiego — gdzież iest móy Pan kochany? poydę mu opowiedzieć —

FANNI, *zatrzymuiąc go.*

Zaczekay WaćPan, powiedz nam, cóż to iest?

DAWID.

Słuchaycie mnie WaćPanie. Milord Orsey — ach! iakże to Pan dobry i wspaniały — prawdziwie — po Panu Wilsonie — zdaie mi

ſię, iżby on był naygodnieyſzym mieć WaĆ Panią za żonę —

Fanni.

O! nieba, Milord Orſey? cóż on uczynił?

Dawid.

Niebo mię dobrze natknęło — nieſkończone mu za to oddaię dzięki, poſzedłem do Pałacu Milorda, czekałem tam powrotu iego, iakoż przyiechał, wylewaiąc łzy rzewne rzuciłem mu do nog — długo do niego ſłowa przemówić nie mogłem, ſzlochania głos mòy przerywały — powiedziałem mu na koniec, żeś WaćPani tego poranku poſzła za Pana Wilſona; gdy to uſłyſzał, rzucił ſię pełen rozpaczy na krzeſło, opowiedziałem mu nieſzczęſny przypadek, który zaraz potym naſtąpiwſzy zamęściu, do oſtatniey was przywiòdł nędzy, bez nadziei nawet ratowania ſię. Milordzie, rzekłem do niego, nie wiedzą żem tu przyſzedł; przywiązanie moie ku nim, tę mi myśl podało, Panie — nie odſtąpię od nog twoich — długo ſię paſſował ſam z ſobą, wnet ſię odwracał odemnie, wnet na mnie ſurowe rzucał weyźrzenia —

nakoniec podał mi rękę, podniosł mnie, i ścisnął z żywością — dziękuię ci, rzekł do mnie, przyiacielu za szacunek, ktòry miałeś ku mnie, nie znaydziesz mnie niegodnym mniemania twoiego o sercu moim — usiadł zaraz, napisał ten bilet, i oddał mi go; iest to zlecenie do swego bankiera, ażeby —

FANNI.

Domyślam się reszty, móy kochany Dawidzie — ten nowy dowod przywiązania twego ku nam serce me przenika, i łzy mi wyciska — iednak nic nie przyimę od Milorda Orsey — kochał mnie, ale się teraz między nim i mną wszelki zerwał związek, życzę sobie nawet, móy Dawidzie, aby się mąż mòy nie dowiedział, co Milord chciał dla nas uczynić.

wychodzi lewą stroną.

SCENA IX.

Pani SONBRIGE, DAWID.

PANI SONBRIGE *do Dawida zadziwionego.*

Tak mòy Dawidzie, corka moia dobrze myśli — nic od Lorda przyiąć nie możemy.

DAWID.

Ach! co WaćPani mówiſz — za cóż nie? — od tak wielkiego Pana iak Milord, tak wſpaniałego i bogatego? zdaie ſię iakoby nieba natychmiaſt nadgrodzić mu chciały tę dobroczynność — ieſzczem nie był wyſzedł od niego, gdy mu dano znać, iż zoſtał dziedzicem Lady Falkland —

PANI SONBRIGE *zadrży.*

Co Lady Falkland umarła?

DAWID.

Tak ieſt, umarła nie dawno w Jamaice, a to bez dzieci — Lord Falkland iey mąż powraca — albo iuż powrocił — Lady zoſtawiła Lordowi Orſey znaczne dziedzictwo; zdawał ſię iednak mało bydź uradowany tą nowiną, i zaraz na wieś odiechał; lecz ia pobiegnę do Pana Wilſon — nie ſpodziewam ſię, żeby myślał podobnie w ſtanie niniey-ſzym, nie odmowi wſparcia naywſpaniałſzego Pana.

wychodzi na górę.

SCENA X.

Pani SONBRIGE ſama.

Czym dobrze uſłyſzała? że ona umarła — i że Falkland powraca? ach gdyby niewdzięcznik chciał weyść w ſiebie! —

SCENA XI.

Pani SONBRIGE, FANNI, DAWID, potym BETZI i MILK.

FANNI *wchodząc z Dawidem.*

Nie znalazłam go na gòrze, nie maſz go w domu, nie widziałże go kto?

DAWID *otwieraiąc drzwi do ſklepu.*

Panno Betzi! a gdzie Pan Wilſon?

BETZI *wychodząc.*

Nie wiem, iam rozumiała, że ieſt na gòrze — wſzyſcy rzemieślnicy ſą w ſklepie, przyśli Panu ſwemu ofiarować dzieſięć gin, ktòre między ſobą złożyli dla niego.

DAWID.

Co za ludzie poczciwi, przykład ludzkości chciwemu daią Paſtorowi.

Milk *wchodząc i oddaiąc liſt Fanni.*

Otòż tu liſt oddany mi przez Pana Wilſona, który dopiero iutro miał doyść rąk WaćPani — ale ponieważ miał minę wcale obłąkaną i nieſpokoyną, a co mnie tym mocniey zadziwiło — iż ten liſt pod adreſſem WaćPani, umyśliłem więc zaraz go ſam przynieść.

Fanni *biorąc liſt.*

Day go WaćPan, day, o Boże! drżę cała.

Milk wychodzi.

SCENA XII.

Pani SONBRIGE, FANNI, DAWID, BETZI, potym rzemieślnicy Wilſona.

Pani Sonbrige *do Fanni.*

Otworz czym prędzey ten liſt — i zobacz co to ieſt —

Fanni *otwiera go, idzie go czytać do świecy — drży cała — wſzyſcy około niey ciekawi ſłyſzeć czytaiącą.*

„Bądź zdrowa„ o nieba! krew ſię w mych żyłach zacina! „byway zdrowa kochana Fanni, „ węzeł który nas ſpoił dziś zrana, będąc ſa-

„ talny szczęściu twemu, iuż iest zerwanym„ O! wielki Boże „ i w tym momencie gdy „ ten list czytasz — iuż nie masz męża„ — o nieba! umieram — (*wszyscy krzykną Fanni mdleie, ratuią ią wszyscy, i sadzaią na krześle, Betzi iest u nog Fanni, wszyscy w rozpaczy czynią wyobrażenie nayżywszey boleści*)

PANI SONBRIGE *do corki.*

Ach! corko moia — kochana Fanni,

DAWID.

Przybywaycie przyiaciele czym prędzey. (*razem*) Nieba! cóż się to stało!

FANNI *przychodzi do siebie, bieży do robotników.*

Zaklinam was kochani przyiaciele, nieopuszczaycież mnie — wasz Pan — Wilson — (*nie mogąc kończyć z boleści*).

ieden Rzemieślnik.

Cóż tedy; cóż się naszemu biednemu Panu stało!

DAWID *przyszedłszy.*

Już po nim — umarł — (*podnosi list, i czyta go cicho*).

Sonbrige, Fanni.

O nieba!

Rzemieślnik.

Pochodni — pochodni czym prędzey, roztrychiycie ſię wſzędzie — dopiero wyſzedł — może ieſzcze czas ratowania.

Dawid *przeczytawſzy liſt.*

Tak, tak, biegaymy — trzeba; może — mowi o Lordzie Orſey, pewnie tam poſzedł, rozdzielmy ſię — o Boże! ſpraw aby ieſzcze wcześnie — aby ratować go można.

wychodzą wſzyſcy przez ſklep w wielkim nieporządku.

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Teatr okazuie plac obſzerny z obydwóch ſtron domy, w głębi Teatru Tamiza, na niey moſt z poręczami.

Noc ciemna, mieſiąc zaczyna ſłabo świecić wſkroś obłoków gęſtych.

SCENA I.

WILSON ſam.

Wchodzi powoli z lewey ſtrony Teatru bez kapeluſza trzymaiąc w ręku liſt — trąci ſię o dom, wyſzedłſzy z zamyślenia, ogląda ſię ku śrzodkowi placu.

Gdzież ieſtem? — ha! iużem na placu, tak ieſt, widzę Tamizę — nie daleko pałac Lorda Orſey — zanioſę ten liſt — a potym — otoż moſt w bliſkości — (*uczyni kilka*

krokow ku prawcy) poydę iuż — nabierz odwagi nieſzczęśliwy Wilſonie — nie długo iuż maſz do cierpienia, a nayokropnieyſze razy znieść można — gdy trwanie ich krotkie —

patrzy na Tamizę.

SCENA II.

WILSON, FALKLAND, Lokay iego.

FALKLAND *wchodząc na ſcenę geſtami rozpacz oznaczaiącemi, za nim Lokay.*

O nieba! co za nowina! iakiż raz śmiertelny! (*zakrywa twarz rękoma*).

WILSON *w głębi Teatru obrocony ku Tamizie.*

Jeſzcze kilka momentow udręczeń — a o to grob moy — otoż to meta moiey boleści, i wſzyſtkich nieſzczęść moich.

wychodzą prawą ſtroną.

SCENA III.

FALKLAND, Lokay iego.

FALKLAND.

Więc utonęłę! ftały śię łupem zaiadłych morza bałwanow — o Fanni — o moia nayukochańfza Sonbrige, corko i kochanko nieſzczęśliwa — nieftetyż, iuż was nie zobaczę więcey, morze okrutne! pochłonęłoś com miał naydrożſzego na świecie — nie niośę ciośu tego — upadam pod nim — (*śiada na ławkę przy domu na lewey ftronie Teatru, i wſpiera głowę o mur*).

LOKAY *zdaleka patrząc na niego.*

W iakimże zamięſzaniu Pan biedny zoftaie; litość mam nad nim, coż mu takiego ten kupiec Neukaftl powiedział — z taką niecierpliwością czekał na niego, a on mu iakąś fatalną doniośł nowinę.

FALKLAND *śiedząc, mówi głośem cichym.*

Otóż iuż los moy uftanowiony — śiebie tylko śamego o okropność iego oſkarżać powinienem, niebo wſzyftko dla mnie uczyniło,

niło, abym był ſzczęśliwy — a ia nim bydź nie chciałem, wyrwałem ſię gwałtem z łona uſzczęśliwienia, a idąc gdzie mnie podły ciągnął interes, nieſmak tylko i żal znalazłem.

LOKAY *boiażliwie.*

Milordzie!

FALKLAND *ſiedząc.*

Wprzód wyſtępek, a potym pożeraiące zgryzoty ſerce me opanowały — i iuż żadney ſłodyczy użyć nie byłem ſtanie — próżnie ſię bogactwa i honory na mnie zgromadzały —

LOKAY *tonem boiażliwym.*

Ale! Milordzie!

FALKLAND.

Szczęście ſię odemnie oddaliło, i przedemno uciekło na zawſze.

wſtawſzy chodzi.

A tego poranku prawdziwey ſzczęśliwości znalazłem obraz — a to u proſtego fabrykanta ſukiennego, u Karola Wilſon — uprzeyma radość w iego panowała domu — dzieci

iego lube nayſłodſze mu obiecywały nadzieie — a ia, ia nieſzczęſny daleki od tey roſkoſzy — ſamo chcąc zdeptałem ią nogami — Już ſię nieſzczęśliwości moiey niezwrotney dopełniła miara — ſkończyć ią potrzeba — (*znayduiąc ſię na przeciwko ſwego Lokaia*) Co ty tu robiſz? (*dobywa zegarka i tabakierki złotey*) Naści, a idź precz.

LOKAY *trzymaiąc Zegarek i tabakierkę, ściąga ręce do Pana ſpoſobem proſzącym.*

Milordzie — Panie moy — daruy mi, w tak okropnym ieſteś ſtanie, pozwol abym — nie mogę go odſtąpić.

FALKLAND *zaiadle.*

Precz ztąd mowię ci —

LOKAY *na boku oddalaiąc ſię.*

Nie ſpuſzczę go iednak z oka, potrzeba, ieżeli można będzie, z tey rozpaczy go wyrwać (*kryie ſię w kącie, lecz wygląda często patrząc na kroki Pana.*)

SCENA IV.

FALKLAND *ſam chodząc prędko miną obłąkaną.*

Obie — obie zginęły — Corka i matka — a mnie tylko ſamemu ich zgubę przypiſać powinienem — gdybym ich nie był zdradził — porzucił — gdybym nie był kochankiem wiarołomnym, albożby były pomyśliły porzucić Anglią? nie wſiadłyby były na okręt, ktòry ſię rozbił — i żyłyby ieſzcze.

znayduie ſię na lewey ſtronie Teatru.

SCENA V.

FALKLAND, WILSON.

WILSON *wchodzi z prawey ſtrony na przodek Teatru ſpogląda miną dziką, nie widząc Lorda Falkland.*

Wſzyſtko ſprawiłem — nie zoſtaie mi więc iako zakończyć me życie — zdaie mi ſię, iż to droga do śmierci moiey —

Będąc po prawey ręce, poznaie gdzie ieſt.

Nie tu — oddaliłem ſię nadto.

FALKLAND *na lewey ſtronie Teatru.*

Więc ſporządziwſzy nieſzczęście ich życia — ieſtem ieſzcze przyczyną ich śmierci okropney. —

WILSON, *obracaiąc ſię ku moſtowi zatrzymuie ſię częſto.*

Jakże mi trudno — niewiem co moy lękliwy chod tamuie, za każdym krokiem, zdaie mi ſię widzieć moią żonę i dzieci, bieżące przeciwko mnie i ściągaiące ſwe ręce ku mnie.

FALKLAND.

Ale będą — będą natychmiaſt zemſzczone — i ta rzeka (*idzie ku moſtowi.*)

WILSON.

Ah! niezatrzymuycie mnie naydroższe ſercu moiemu i oraz naybiednieyſze oſoby, dla was, dla dobra waſzego, idę ſię gubić.

FALKLAND *zbliżywſzy ſię do moſtu.*

Biedne! w bałwanach morſkich pogrążone zoſtały — przynaymniey grob podobny mieć będę — lecz zdaie mi ſię, iż ktoś idzie za mną. (*Obrociwſzy ſię do Wilſona, zatrzymuie ſię.*)

WILSON, *żywo.*

Tak ieſt, byłoby to podłością wahać ſię dłużey — ſłyſzę ſzeleſt — śmierć mnie woła do ſiebie; wiey łonie zapomnę wſzyſtkiego — pośpieſzę więc. (*bieży ſzypko ku moſtowi.*)

FALKLAND, *zatrzymuiąc Wilſona.*

Kto ieſteś? — gdzie idzieſz — nieſzczęſny! śmiałżebyś?

WILSON, *zadziwiony.*

Przepraſzam, niewidziałem WPana —

FALKLAND, *trzymaiąc go.*

Co! niewidziałeś mnie?

WILSON.

Nie — niechciałem WPana obrazić — i iuż nieobrażę nikogo.

FALKLAND, *łagodniey na ſtronie.*

Minę ma obłąkaną — iakże twe zamyſły? — dokąd ſzedłeś?

WILSON.

Tam gdzie nieſzczęśliwi ſwych troſkow znayduią koniec.

FALKLAND.

Co ty mowiſz?

WILSON.

Poydę — poydę — puść mnie WPan.

FALKLAND.

Jako? odważyłbyś ſię?

WILSON, *chcąc mu ſię wyrwać.*

Puść mnie, mowię — gdyby nie ty — iuż by mnie nie było.

FALKLAND, *prowadząc go na przodek Teatru.*

Nieobawiay ſię, abym cię chciał wſtrzymać od zadania ſobie śmierci — nieſzczęśliwi maią to prawo — ieſt to twoie i moie prawo — lecz powiedź mi wprzod, przyiacielu, jakie ſą twe nieſzczęścia, dla ktorych ſobie chceſz życie odebrać?

WILSON.

Naywiękſze na świecie! wiedź Milordzie — że tego poranku nayſzczęśliwſzym byłem z ludzi — poiąłem, żonę ktora me naymilſze ſpełniła śluby — aliści w momencie potym naſtąpił upadek fortuny moiey — utraciłem cały moy maiątek; dzieci moie do oſtatniey

przywiedzione nędzy — żona moia — a żona, ktorey niemasz rowney pod słońcem, dała mi pierszeństwo nad iednym z naybogatszych Panow Angielskich, a teraz — bez chleba została — lecz śmierć moia wszystko nadgrodzi, ta iey odda tegoż Pana. —

FALKLAND.

Co? tylko dla utraty dóbr? — a ty oney nie iesteś przyczyną?

WILSON.

Nie, Niebu czynię dzięki, nieprzyłożyłem się w niczym do upadku mego, bo gdyby to było — radbym ieszcze przedłużył me życie, dla nadgrodzenia błędu mego.

FALKLAND *z żywością.*

A gdyby występki twe były nienadgrodzone — gdyby osoby przez ciebie nieszczęśliwe, iuż nieżyły? — gdybyś był przyczyną ich śmierci? — i kochany od nayczulszey i naycnotliwszey kochanki? —

WILSON, *z rozpaczą.*

Ach! ktoraż kobieta bydź może porownana tey, co się dziś zemną złączyła? iey obraz mnie nieodstępuie, ściga mnie wszędzie — siły gwałtowney, siły nadprzyrodzoney mieć

trzeba, aby ſię od niey oderwać, lecz konieczna tego potrzeba — ſtało ſię — niech idę — gdzie mi okrutne iść każą przeznaczenia.

FALKLAND, *zatrzymuiąc go.*

Zaczekay — *na boku podnoſząc oczy ku niebu.*

Niechże przed śmiercią ieſzcze ieden dobry wypełnię uczynek!

WILSON.

Ale coż mnie, Milordzie, zatrzymuieſz? coż zemną czynić zamyślaſz?

FALKLAND.

Ciebie ratować, naprawić utratę maiątku twego, ocalić ci życie, i twey cię rozpaczaiącey wrócić familii.

WILSON, *całuiąc Lorda nayżywſzemi znakami wdzięczności.*

Ach Milordzie! o Panie wſpaniały, coż oddaieſz mnie żonie i biednym dzieciom? o nieba! uznaię opatrzność waſzą — radość, wdzięczność, i tyſiączne ſerca uczucia mowę mi odbieraią.

SCENA VI. i oſtatnia.

FALKLAND, WILSON, Pani LONBRIGE, FANNI, DAWID, RZEMIEŚLNICY.

Widać w głębi Teatru Dawida wchodzącego z lewey ſtrony z dwoma Rzemieślnikami, ieden z nich ma pochodnią, i idzie nad brzegiem Tamizy.

Z drugiey ſtrony widać Fanni idącą ſzypkiem krokiem przed dwoma Rzemieślnikami noſzącemi pochodnie — Pani Sonbrige idzie za niemi powoli wſparta na iednym Rzemieślniku.

FANNI.

Podźmy, śpieſzmy ſię — w tę poſzedł ſtronę (*potkawſzy Dawida koło moſtu*) wPan to dawidzie — nieſpotkałżeś go (*uyrzawſzy moſt*) o Boże! oto moſt, iuż po nim, utopił ſię zapewne.

Upada bez zmyſłow na ſchodach przy moście, Matka i Rzemiślnicy ią ratuią.

WILSON *do* LORDA FALKLAND *na przodzie Teatru.*

Zobaczę więc nayukochańſzą żonę, dzieci naymilſze; o Milordzie! iak wiele ci winien zoſtaię.

FALKLAND.

Moy przyiacielu — owszem tobie winienem ieszcze ten moment szczęśliwy — rozumiałem iż serce moie niebyło iuż zdolne do uczucia rozkoszy, ktorą smakuię, uszczęśliwiaiąc, ciebie, podź zemną fortuna moia niezmierna, weźmiesz tyle, ile ci się podobać będzie, wszystko ieżeli zechcesz *(bierze go za rękę)* bo co ia — nic iuż niepotrzebuię — *(obraca się, i chce iść, lecz się zastanawia z zadziwieniem, widząc tyle ludzi w głębi Teatru.)* Ale co to tam ludzi — co za zgiełk. —

PANI SONBRIGE *do Fanni otrzeźwioney.*

Smierć iego nie iest ieszcze pewna — nie trzeba rozpaczać — może ieszcze —

WILSON *idąc ku głębi Teatru, a Falkland na lewą stronę Sceny.*

Cóż to iest? serce nadzwyczaynie we mnie biie, o Boże! gdybyć —

DAWID *weyrzawszy ku przodkowi Teatru.*

Głos iakiś słychać — gadał ktoś — dwóch widać ludzi.

FANNI *przybliżaiąc się z pochodniami.*

Patrzmy — pòydźmy bliżey — ah! to on.

WILSON *ściſkaiąc Fanni, która ſię rzuciła na łono iego.*

Przebóg! to żona moia — tyś to życie moie! (*ściſkaią ſię, i nic nie mówią długo.*)

PANI SONBRIGE *przybiegłſzy, ściſka oboie.*

Wilſonie — to moia córka.

DAWID *obłąkany z radości, wſzyſtkich ściſka koleyno.*

O Panie kochany — otòż ieſt — nieba nam go oddały.

FALKLAND *na boku Teatru rozrzewniony aż do łez.*

O Boże dobrotliwy! — iakże ten widok ieſt tkliwym dla mnie — oczy moie widzą ieſzcze przed zawarciem ſwoim obraz prawdziwey ſzczęśliwości. (*patrzy ieſzcze moment na Wilſona i Fanni, a głowę o mur domu opiera.*)

WILSON.

Zniknęły iuż nieſzczęścia naſze, pòydźcie przyiaciele, rzućmy ſię wſzyſcy do nòg wybawiciela mego. (*bierze za rękę Fanni, i Panią Sonbrige.*)

FANNI.

Ktòż cię ratował? — ktòż ten ſzczęśliwy?

WILSON *prowadzi ich do Lorda Falkland, którego wszyscy obstępuią.*

Otòż to ten móy wspaniały wybawiciel, móy Dobrodziey — życie, fortunę — i wszystko mu winien iestem, chce — mi —

PANI SONBRIGE *zobaczywszy Falklanda.*

Nieba! cóż widzę.

FALKLAND *spoyrzy na nią i zadrzy.*

Wielki Boże! iakiż głos — czy podobna —

PANI SONBRIGE *wspieraiąc się na Wilsonie.*

Wspieray mnie — Milord — Falkland....

FANNI.

O nieba!

FALKLAND *rzuciwszy się na Panią Sonbrige.*

Tyś to kochana Sonbrige? co? ty żyiesz ieszcze?

PANI SONBRIGE *nachyla się na Falklanda, skrapia go łzami, a potym zemglewa.*

Ah Falklandzie — umieram. —

FALKLAND *przyciskaiąc ią do łona swego.*

Naymilsza Sonbrige, nie utracay twych zmysłów, przychodź do siebie, a patrz na mnie

bez żalu — ściſkam teraz małżonkę moią — *(Fanni na te ſłowa otworzy oczy)* tak ieſt, kochaną ściſkam żonę — gdzież Fanni? — gdzież còrka moia?

PANI SONBRIGE.

Wyratowałeś iey męża — córko moia, Wilſonie, uściſkaycie oyca ſwego.

FALKLAND *ściſka koleyno matkę i còrkę.*

Ah córko moia.

FANNI.

Ah! oycze móy! — dwa razy ci życie winnam.

FALKLAND *patrząc na Wilſona, który u nóg iego.*

Co? on twoim mężem? *(podnoſi, i ściſka go)* o móy ſynu! *(obròciwſzy ſię do Pani Sonbrige i Fanni.)* Gdyby nie on, nie byłbym iuż na świecie, odebrawſzy nowinę o śmierci waſzey, znieść tego cioſu nie mogłem, chciałem więc zakończyć to życie, ktòre mi ſię ſtało nieznośnym, lecz nieba rządziły, żeśmy ſię potkali — widok rozpaczy iego, zawieſił moią — chciałem przed porzuceniem życia, nieſzczęścia iego poprawić, i

wykonać ieſzcze akt ieden dobroczynności — otòż łaſkawe nieba daią mi nadgrodę tego.

WILSON *chcąc ſię rzucać do nóg Falklanda.*

Ah Milordzie!

FALKLAND *zatrzymuiąc, ściſka go.*

Nazyway mnie odtąd oycem twoim — wſzakże nim ieſtem, i çhcę nim być zawſze, — polecam ci ſzczęście córki moiey — złączemy ſię wſzyſcy nierozdzielnie, dopomożcie mi uſzczęśliwić nakoniec — (*rzuca ſię na ramiona Pani Sonbrige*) czułą kochankę, i naycnotliwſzą żonę, ktòrey tyle ſmutkòw i boleści ſprawiłem.

KONIEC.

w Księgarni Gröllowskiey w Marywilu Nro 24. znayduią się.

Historya Narodu Polskiego od początku Chrześciaństwa. Panowanie Piastow, Tom II. III. IV. i V. alla rust. zł. 36

Magazyn Warszawski Część I. 8 alla rust. zł. 6
Także Część II. wyidzie na końcu Czerwca.

Zennewal, Dramma w 5. Aktach, 8 alla rust. zł. 3

Fabrykant Londyński, czyli Rozpacz Szczęśliwa, Dramma w piąciu Aktach napisane po Francuzku przez P. de Falbaire, a przełożone na Polski język zostawioną Sceną w Londynie przez Jana Baudouin, 8 alla rust. zł. 3

Franc. Dyoniz. Kniaźnina, Wiersze, 12. alla rust. zł. 3. gr. 15

Franc. Karpińskiego, Zabawki wierszem i prozą, Tom III. i IV. 12. alla rust. zł. 6

Historya Polityczna Rewolucyi Amerykańskiey teraźnieyszey, przez l'Abbé Raynala, 8 alla rust. zł. 4

X. Swiďkowskiego o Budowaniu Wieyskim, z figurami, 8 alla rust. zł. 10. gr. 15

Prawa z Statutu W. X. Lit. i Konst. dla wygody prawuiących się z urzędu, albo potrzeby Sądow, i dla innych Obywatelow Koronnych i Litewskich wiadomości porządnie zebrane, 8 alla rust. zł. 8

Kucharz doskonały, okazuiący sposob poznawania, rozbierania, sporządzania rożnego rodzaiu mięsiwa &c. Przytym naukę daiąc przezorną o mocy, czyli wyśmienitości warzywa i zioł, oraz wyborne onychże używania; tudzież robienia Wodek, Likworów, Syropow, Ciast i Cukrow &c. alla rust. zł.

Amfitryo, Komedya we 3. Aktach wiersze

Molliera, przez Franciszka Zabłockiego, 8 alia ruſt. zł. 3

Zołta Szlafmyca, albo Kolenda na Nowy Rok, Opera we 3. Aktach, 8 alla ruſt. zł. 2. gr. 15

Wieſzczka Urzella, albo to, co ſię Damom podoba, Komedya we 4 Aktach 8 alla ruſt. zł. 2

J. E. Giliberti Indagatores naturæ in Lithuania, ſeu opuſcula varii argumenti, quæ Hiſtoriam animalium, vegetabilium, in M. D. Lith. & morborum, quibus in hac Provincia homines, vel maxime obnoxii ſunt, illuſtrare poſſunt 8 maj. Vilnæ 1781.

— Ejusd. Flora Lithuanica Collectio I—Vta. 8 maj. 16. 1782.

Rozumna Rada w nachyloney Oyczyznie do upadku rozumnemu Obywatelowi ku ratowaniu ſie podana; to ieſt: Juſta Lipſiuſza Kſięgi dwie o Męſtwie i Stałości, 8 w Berdyczowie 1783. alla ruſt. zł. 3

Wieſzczba Wyroczni, czyli Tablice Kabaliſtyczne, za pomocą których każdy, byle tylko czytać umiał, ciekawą odpowiedź na ſwe pytanie w gładkich wierſzach łacińſkich odbiera, 8 1784. zł. 1

Mowy wyborne po większey części z ſtarożytnych Mowcow i Dzieiopiſmow zebrane, 8 w Wilnie 1784. alla ruſt. zł. 3. gr. 15

Nachricht von einer bevorſtehenden groſſen Revolution der Erde, die inſonderheit das ſüdliche Europa und einen Theil Deutſchlands betreffen ſoll, 8 Frankf: u. Leipz: 1783. . zł. 1

Fanni, czyli Żal Szczęśliwy, przypadek Angielſki, przekładania z Francuzkiego na Polſki język przez Jeymć Pannę Zofią Załuſzczyńſką, Woyſka Kor. Podpułkownikownę,. 8. w Warszawie 1784. alla ruſt. zł. 2